



ELIZA ORZESZKOWA

Zefirek

ELIZA ORZESZKOWA

Zefirek

Był to jeden z dziedzińców tych, które tylko w prowincjonalnych miastach spotkać można. Rozległy i niebrukowany, od strony ulicy miał dom drewniany, lecz duży i dość ozdobny, a w głębi budowę długą, niską, zrównaną, której środkowa część, całkiem prawie rozrzucona, służyła za drwalnię i śmietnisko, a oba końce, w kąty dziedzińca wsunięte, zawierały po jednym mieszkanku, o dwu małych okienkach i wązkich drzwiczkach, rozdzielonych z ziemią parą spróchniałych wschodków. Jeden bok dziedzińca otoczony był parkanem, za którym ciągnęły się warzywne i owocowe ogrody. Przy drugim, nowy właściciel zaniedbywanej długo posiadłości tej wznosił kamienicę, której mury świeże, czerwone i dachu jeszcze pozbawione, świeciły kilku rzędami kwadratowych dziur, na okna pozostawionych.

W jednym z kątów dziedzińca, za drobnymi szybami okienka, migotały, na wystawę niby wywieszzone, różnokolorowe robótki kobiece, jako to: serwety, podstawki, buciki dziecinne i t. p. Kto tu wystawę, tę mógł widzieć i przez nią do kupowania zachęconym zostać? Trudno było odgadnąć, zarówno jak domyślić się: na co lub na kogo, wśród pustego dziedzińca tego, spoglądać mogła, także na wystawie, u okna drugiego mieszkanka, kobieta.

Była to pani Emma Żyrewiczowa, niegdyś na cały gmach pocztowy z dobroci i wdzięków swych słynna, córka pomocnika pocztmistrza, potem żona Ignacego Żyrewicza, urzędnika, zajmującego posadę znaczną i dochodną, teraz od lat kilku już wdowa, utrzymująca się z małego kapitaliku wraz z córką, która, z pomiędzy trojga dzieci jęj, sama jedna pozostała przy życiu.

Ci, którzy ją od najwcześniejszej młodości jęj znali, utrzymywali, że dobiega ona końca krzyżyka piątego. Patrząc jednak na nią, trudno było temu uwierzyć. Wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej. Była kiedyś bardzo ładną, jakkolwiek zawsze trochę za chudą i bladą; dotychczas też zachowała cienkość i gibkość kibici, delikatność cery, turkusowy błękit oczu i gołębią słodycz wejrzenia. Po przyjrzeniu się dopiero, spostrzedz można było na białem czole jęj gęstą siatkę drobnych zmarszczek, dokoła przywiedłych powiek czerwony brzeżek, i parę fałd, zarysowujących się u dołu policzków. Pod leciuchnym czepeczkiem, ufryzowane *nioby* jęj siwiały też z lekka. Ubrana była w czarną suknię, poplamioną i tu i owdzie pocerowaną, lecz powłóczytą i przyozdobioną z boku kokardami o długich końcach.

Pokój, w którym siedziała, bardzo podobny był do jęj sukni.

Dość obszerny, ale niski, z brudnymi ścianami i brudniejszym jeszcze kominem w rogu, stanowił on, wraz z malutkimi ciemnymi sionkami, całe mieszkanie. Brudne ściany podierały belkowany sufit, od którego, w malowniczo ułożonych draperyach, opuszczały się szmaty kosztownych niegdyś firanek, dość dziwacznie przyozdobione gałęzmi mizernego bluszczu. Stoły, stolki i szafy nieliczne tam były, tanie i stare, lecz pomiędzy niemi królował fortepian, ze spelzłą wprawdzie politurą, niemniej będący tu widmem niby dostatniego i przez sztukę uprzyjemnionego życia. Naprzeciw straszego komina, na pół przysłoniętego brudną firanką z zielonego perkalu, stała pod samem oknem miętka kanapka, podartym dywanikiem orzucona, i na niej-to właśnie siedziała właścicielka mieszkania tego, z wyrazem znudzenia i smutku, wodząc okiem po obszernym i pustym dziedzińcu.

Białe, delikatne jej ręce trzymając kawałek zahaftowanego batystu, spoczywały bezwładnie na jednej z zacerowanych dziur, malowniczo skrojonej i przyozdobionej sukni. Smutne snadź myśli przechodziły po głowie wdowy, bo czoło jej sfałdowało się kilka razy w grube zmarszczki... wzdychała. Ożywiła się jednak i rozwelili nieco, ujrawszy postać ludzką, wchodzącą w bramę dziedzińca. Była to tylko żebraczka stara, ze zgrzybiałą twarzą i w łachmany przyodziana, lecz, kijem swym stukając o bruk dziedzińca, zmierzała wprost ku jej okienku w tę stronę.

— Niech będzie pochwalony, — ozwał się za szybami głos trzęsący się i ochryply.

— Na wieki! — z uprzejmym skinieniem głowy odpowiedziała Żyrewiczowa i, trochę już uśmiechnięta, sięgnęła pośpiesznie do szufladki stolika, z kąd wyjęła miedziany pieniążek, który, otworzywszy okno, żebraczce podała.

— Za duszę Ignacego, — rzekła przytęm, — zmów, kochanko, Anioł pański za duszę Ignacego!

— Niech Bóg zapłaci! niech Bóg zapłaci! Wiem już, wiem, za jaką to duszyczkę Pani Dobrodziejka modlić się zawsze każe! Anioł Pański zwiastował...

Stała tuż za oknem, na kiju swym wsparta, i półgłosem pacierz swój wymruczała. Pani Emma zdawała się go też z cicha powtarzać, bo poruszała ustami i patrzyła w niebo.

— Pani Dobrodziejka zawsze samiuteńka jedna siedzi, — zaczęła żebraczka.

— A sama, kochanko... cóż robić? sama...

— Córunieczkę spotkałam... tam, na Błotnym zaułku... bieliznę w koszu do magła niosła. Oj, oj! kosz taki ciężki, aż się panienczka gięła, niby trzcina... Napracuje się to niebożątko, napracuje...

Tym razem żywy rumieniec oblał twarz wdowy.

— Ona to lubi, — odrzekła prędko, — to już taki charakter... wszak potrzeby niema żadnej... żadnej.

— Oj, oj, co tam za potrzeba! — schlebającym tonem potwierdziła żebraczka; — wiadomo! panom zachciewa się czasem różności... Niech będzie pochwalony...

Zabierała się do odejścia, ale Żyrewiczowa niespokojnie poruszyła się na swém siedzeniu. Widocznie wstyd jej było zatrzymywać żebraczkę, a nie chciała choćby tego towarzystwa utracić.

— Słuchajcie no, kochanko — zaczęła, — a co tam dziś na mieście? ruch wielki? co?

— Oj, oj! czemu nie mają ruszać się? dzionek pogodny, letni! Na ogrodowej ulicy przecisnąć się nie można, tylu panów spaceruje, a panie, to wszystkie poubierane w takie suknie, że aż w oczach ćmi się, patrząc...

Wdowa westchnęła. Brzegi powiek jej zaczerwieniły się mocniej jeszcze, bo źrenice zabiegły łzą.

— A w ogrodzie muzyka gra? — zapytała ciszéj.

— Aj, aj! aż się po całym mieście rozlega! Ale czemu to pani dobrodziejka nie wyjdzie sobie do miasteczka, na boże słoneczko i na różne różności popatrzeć? Oj, oj, aż litość bierze, patrząc, że taka pani marnuje się tak w smętności i na odludziu!...

Za nic, za nic w świecie nie wyznała-by przed tą nawet skromną powiernicą swą, że na miasto wyjść nie może dla braku odpowiedniego kapelusza i okrycia. Siłąc się więc na uśmiech, lecz z oczyma pełnymi łez, odpowiedziała:

— Gdzie mi tam, kochanko, myśleć o takich rzeczach, wdowie, przez przyjaciela swego i świat cały opuszczonej...

Z głośném wzdychaniem i żałośném kiwaniem głową, żebraczka zaczęła:

— Oj, biedaczka moja, biedaczka! Nieboszczyk bo, niechaj światłość wiekuista duszyczce jego przyświeca, dobry był pan, dobry...

— O, jaki dobry! jaki dobry! najlepszy w świecie! — wykrzyknęła wdowa i zalała się już rzęśnistymi łzami. Przyłożyła chustkę do twarzy, łkała. Żebraczka zaś, oparta wciąż na kiju swym, ze współczuciem mruzczała:

— Biedulka! biedulka! Ot, żałuje towarzysza swego! ot, płacze po nim! ot, serce złote!

Nagle, w chwili właśnie gdy wdowa chustkę od twarzy odejmowała, pomiędzy bramą a wejściem do przeciwległego domu przesunęła się szybko męzka jakaś postać.

— A! — wykrzyknęła pani Emma, i zerwała się z siedzenia. Łez nie było już w oczach jej ani śladu, zbolalość ustąpiła przed uradowaniem, zmieszaniem z żywem zaniepokojeniem.

— Z Bogiem! z Bogiem, kochanko! — rzekła do żebraczki, i pośpiesznie okno zamknęła.

Ale żebraczka, z wielokrotnego zapewne doświadczenia, wiedziała, że za gawędę, słuchanie zwierzeń i okazywanie współczucia, należy jej się słuszna nagroda. W sposób ten zapracowała na grosz, którego bynajmniej tracić nie chciała.

— Paniuniu! dobrodziejko! obdarzcie jeszcze czémkolwiek biedną tak samo wdowę!

To „tak samo” przykre na pani Emmie wywarło wrażenie. Wzdrygnęła się lekko i dumnie podniosła głowę, na żadne jednak szorstkie lub gniewne słowo zdobyć się nie mogła. Przez lufcik już tylko, szybko otwarty i zamknięty, rzuciła naprędce znalezione srebrny już pieniążek, i mówiąc:

— Idźcie już sobie, idźcie z Bogiem, — odbiegła od okna.

Stała na środku pokoju i szybkim spojrzeniem orzuciła go dokoła. Poskoczyła ku fortepianowi, otworzyła go i na pulpicie rozłożyła parę podartych zeszytów nut; mantylką jakąś, naprędce z szafy pochwyconą, starła pył ze stojącego pod kanapką stolika. Uczyniwszy to wszystko, rzuciła się ku krzywo, bo na dwóch tylko nogach, stojącej komodzie, a odsunawszy jedną z jej szuflad, na jakiejś wyszczerbionej pozostałości porcelanowego talerza zgrabnie ułożyła kilka ciastek i trochę cukierków, wydobytych z papierowego worka. Następnie rzuciła okiem po całym swym ubraniu, a spostrzegłszy na przedzie sukni zacerowaną dziurę, zakryła ją końcem zwisającej od pasa wstążki, który przymocowała szpilką. Nakoniec usiadła znowu na kanapie i, zdyszana nieco, utkwiała wzrok we drzwiach wchodowych domu, od ulicy stojącego. Błady lecz świeży rumieniec wybił się na jej policzki, oczy rozbłysły wyrazem przyjemnego oczekiwania, odmłodziła jeszcze o lat dziesięć.

Po kwadransie, oszklone i brązową klamką świecące, drzwi otworzyły się, a młody, wysoki, zgrabny mężczyzna, który z nich wyszedł, przebył szybko dziedziniec, paltot, od niechcenia na ramionach zarzucony, umieścił w małych sionkach, na stariej, dnem do góry przewróconej beczce, i ukazał się w mieszkaniu wdowy. Był to dwudziestokilko-letni przystojny chłopak, z niskim czołem, ale w migdał wykrojonemi, pięknymi oczyma, które, jakkolwiek dość bezmyślne, błyszcząły pewnym rodzajem ożywienia i sprytu, z płowym, ładnym wąsikiem i eleganckim kapeluszem, a zarazem liliową, zmiętą, rękawiczką w ręce.

— *Bon jour, ma tante!* — zawołał, wchodząc.

— *Bon jour! bon jour!* — pieszczotliwym prawie głosem odpowiedziała gospodyni mieszkania, i wyciągnęła do gościa piękną rękę swą, którą on, wymownie w twarz jej patrząc, z uszanowaniem ucałował. Ukazując mu miejsce obok siebie, z błyszczącym wzrokiem i żywymi gościami mówić zaczęła:

— Widziałam pana wchodzącego do adwokata Rolickiego, i ciekawą byłam bardzo, czy też pan Stanisław i o mnie przypomni sobie... Siedzę tu, jak pan widzi, sama jedna... trochę smutna, i myślę sobie: zajdzie, nie zajdzie?

Przy ostatnich słowach uśmiech miała figlarny a spojrzenie smętne.

Gość usiadł przy niej i, z łokciem zaokrąglonym na poręczy kanapki, z lekka się ku niej pochylał:

— *Mais comment donc!* — zaczął, — kiedyż-to ja, będąc w mieście, kochanej stryjeczki nie odwiedziłem? Ale proszę mi powiedzieć, za co stryjenka tak mię krzywdzi?

— Ja! — wykrzyknęła z przerażeniem, — ja pana Stanisława krzywdzę? *Au nom du ciel...*

— A jakże! pan... pan... pan Stanisław, to, jak Boga kocham, aż żal bierze! Czy to ja nie jestem synowcem nieboszczyka mego stryja...

— Pokrewieństwo nie blizkie, — wyjąkała, — ojciec pana był stryjecznym bratem...

— Ale cóż znowu! — zawołał z żywością, — cóż znowu! stryjeczny czy wujeczny, ja chcę, żeby stryjenka nazywała mię, jak dawniej, po imieniu i koniec. No, proszę mi powiedzieć: Stasiu! bardzo proszę!

— Stasiu! — szepnęła ze spuszczonej oczyma.

Pod ładnym wąsikiem jego drgnął szybki uśmiech, wnet jednak wyrzekł:

— Stryjenka sama mówi zawsze, że najważniejszym pokrewieństwem jest braterstwo dusz. O, ja pamiętam!

Podnosząc do oczu robótkę, od niechcenia niby odpowiedziała:

— *C'est vrai!* szczęśliwi ci, którzy je w życiu znaleźli...

I ciszej dodała:

— Życie mija... mija... mija...

— No, przecież nie minęło jeszcze! — perswadował Staś.

— O! — wymówiła, — słońce już zachodzi...

Chciała powiedzieć coś więcej jeszcze, lecz nagle spojrzała w stronę komina i spostrzegła, że do osłaniania paszczy jego służąca firanka całkiem spuszczoną nie była. Nie była ona spuszczoną do tego stopnia, że z za niej ukazywał się, jak na dłoni, gliniany, otłuszczony garnek, do połowy napełniony zastygłym, z obiadu na wieczercę pozostawionym, rosółem. Skamieniała i wątek rozmowy utraciła. Ale Stanisław prowadził ją dalej w raz przyjętym tonie:

— Ale gdzież tam, — mówił, — jakie tam zachodzenie! Stryjeneczka Bóg wie co zawsze o samej sobie wygaduje! Ileż naprzykład stryjenka lat mieć może?

Z prostotą odpowiedziała:

— Rachunek prosty. W szesnastym roku życia mego wyszłam za mąż, a Brynia, moje najstarsze dziecko, ma już dwadzieścia dwa lata!

Wąsiki gościa drgnęły znowu i poruszyły się w sposób szczególny. Wiedział on dobrze, ten syn stryjecznego brata Ignacego, że w złożonym przed nim rachunku, kilku lat brakowało u początku, i kilku u końca. Niemniej jednak wymówił ze śmiechem:

— Trzydzieści kilka lat! rozkoszny wiek dla kobiety! Samo życie, sam rozkwit! Trzydziestokilkoletnie i nawet czterdziestoletnie kobietki są właśnie najbardziej powabnymi! *nous le savons, nous...*

— Oh! *vous! vous!* — figlarnie pogroziła mu gospodyni, a pragnąc spojrzenie jego odwrócić jak najdalej od nieszczęsnego komina i wyglądającego zeń garnka, zlekka ukazała palcem dom przeciwny i zapytała:

— *Vous avez rendu visite aux Rolicky?*

— *Oui; j'avais été là,* — odpowiedział. — Miałem interes...

Widocznie, oboje nie byli biegłymi we francuzczyźnie i używali jej błędnie i z trudnością. Lecz silili się na wtrącanie do rozmowy francuzkich słów i frazesów, dla wzajemnego przypodobania się sobie.

— Jakże idą interesa? — troskliwie zapytała wdowa.

Wyraz niesmaku rozlał się po ładnej twarzy gościa. Uczynił ręką giest niechętny.

— Co tam mówić o takich nudnych i poziomych rzeczach! Kiedy jestem przy stryjeczce, zapominam o wszystkich kłopotach i nieprzyjemnościach. *Vous êtes mon ange consolatrice!*

Promieniała od czułości i uradowania.

— *Oh, parlez à moi avec le coeur ouvert!* — wyrzekła z cicha; — chociaż skrzydła moje są oddawna złamane, umiem jednak czuć i podzielać...

— Stryjeneczka jest doprawdy godną lepszego losu...

— Co tam! stało się! nie mówmy o tém...

— Ja stryjowi doprawdy nie mogę darować, że... że zostawił stryjenkę w takim położeniu.

Rzuciła spojrzenie ku nieosłoniętemu kominowi.

— O, położenie moje wcale złém nie jest, oszczędzam się... to prawda; ale dobrownie... gusta mam skromne. Ignacy był może poziomym, pospolitym człowiekiem... miałam może prawo marzyć o czémś... o czémś wznioślejszém, ale... był on bardzo, bardzo dobrym, myślał i pamiętał o mnie...

— Rolicki mówił mi, że oprócz tego, co stryjenka mnie pożyczyła, ma kapitał u niego ulokowany...

— Ależ tak! jakże! mam kapitał...

— Mówił mi, że trzy tysiące...

— Tak, u niego trzy tysiące, ale gdzieindziej...

Gość jednak wiedzieć musiał na pewno, że owe: gdzieindziej nie istniało wcale, bo nie okazał ciekawości żadnej, tylko, do siebie jakby szepnął:

— U mnie trzy, tam trzy, to sześć!

Po dokonaniu dodawania tego, ocknął się niby ze snu i zawołał:

— Ale, jak Boga kocham, po co ja tracę miłe chwile i o takich poziomych rzeczach...

— Owszem, owszem, — przerwała z żywością, — czyż nie jesteś jedynym przyjacielem i opiekunem moim... O, wszyscy dawni przyjaciele i znajomi moi opuścili mię, gdy tylko mój Ignacy oczy zamknął. Ty jeden tylko, Stasiu, nie zapomniałeś o mnie i opuszczasz swój świat wesoły i błyszczący, aby odwiedzić i pocieszyć biedną samotnicę!

Łzy zakręciły się znowu w oczach jój, wyciągnęła rękę ku młodemu krewnemu swego męża. — Nosisz nazwisko mego Ignacego, — szepnęła, — jesteś synem kochanego Bolesława, z którym tyle, tyle chwil wesołych spędziłam... a przytém czuję, że dusze nasze są bratnie sobie, że jesteś zdolen zrozumieć te nieokreślone tęsknoty i nieujęte żale, które...

— O tak! tak! — całując ją w rękę, przerwał z zapałem i pośpiechem; — jestem zdolen zrozumieć... mam bratnią duszę, to pewno nieboszczyka. Ojciec mój, pamiętam, zawsze mówił o stryjence: jaki to śliczny zefirek, ta moja bratowa!

Nie było już w oczach jój łez ani śladu. Śmiała się z rozkoszą.

— Doprawdy! więc pamiętasz, jak mię Ignacy i cała rodzina jego nazywali zefirkiem? O, jaką ty dobrą masz pamięć! Zresztą, niezbyt to jeszcze dawno... — ciszej dodała: — Kiedy byłam w domu rodziców moich, nazywano mię Sylfidą...

— Dlaczegoż to? proszę stryjenki! — dość naiwnie zapytał gość.

Zarumieniła się lekko i mimowoli spojrzała po swęj kibici.

— Aha! — odpowiedział, ale markotniał widocznie i wesołość jego gasła pod napływem przykrych jakichś myśli.

— Stryjenciu, — zaczął, — dlaczego stryjenka u Rolickiego ulokowała swoje pieniądze?... on to w biletach trzyma, a z tego procent mały...

— O, — zaprotestowała, — ja się na tém nie znam...

— Ale ja znam się i mówię stryjence, że to strata duża i niepotrzebna.

Spojrzał w okno i niedbale dodał:

— Teraz najlepiej jest lokować kapitały na obywatelskich majątkach...

— O, obywatele... to pewnie, — zaczęła.

— Otóż to, chciałem nawet stryjenki zapytać, czy nie ulokuje tych trzech tysięcy u mnie?

— *Mais comment!* — zawołała — i owszem! dlaczegożes wprzódy mi nie powiedział?

— Tak... przykro mi jakoś było... *mea culpa!* nie zapłaciłem jeszcze procentu ani Łopotnickiej, ani stryjence...

— O, co tam! co tam! nie mówmy o tém! — zaczęła, ale z zaniepokojonych jój oczu widać było, że kwestya procentu interesowała ją przynajmniej tyle, ile nieosłonięte wnętrze komina.

— Gospodarstwo teraz strasznie trudne, — mówił gość, — nakłady i nakłady... a niepodobna znowu, aby człowiek zakopał się żywcem na wsi...

— Ależ naturalnie! Zakopać się na wsi! brrr!

Wzdrygnęła się ze wstrętem zupełnie szczerem.

— Jeżeli więc stryjenka chce i może...

— *Mais comment donc!* i chcę, i mogę.

— *Merci, merci!* — wymówił z uczuciem i kilka razy pocałował ją w rękę.

— Pójdziemy razem do Rolickiego, zaraz, — rzekła i już wstawała z kanapki, gdy na dziedzińcu ozwał się rozniewany i krzykliwy głos kobiecy. Była to kobieta wysoka, kształtnie i silnie zbudowana, w krótkiej spodnicy, grubém obuwiu i wielkiej chustce na głowie, która, trzymając w rękę spory kosz, pełen bielizny, a zwrócona ku otwartym sionkom mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca, rozpoczęła z kimś zajadłą jakąś kłótnię. Odpowiadał jój z sionek głosik kobiecy także i także donośny, ale cienki i przerażenie bardziej, niż rozniewanie zdradzający. Z burzliwej rozmowy tej rzadkie zaledwie słowa dochodziły uszu p. Emmy i jój gościa. Słyszał było coś o wyrzucaniu śmiecia na ścieżkę, o jakiejś wiązce drew, o jakiejś kwarcie mleka. Kobieta z koszem w ręku i chustką na głowie, przedstawiała wyraźnie stronę napastniczą; ta, która odpowiadała z głębi sionek, broniła się coraz bardziej płaczącym głosem.

— Czy to panna Brygida? — zapytał Stanisław i szeroko otworzył oczy, tak, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał.

Na twarz p. Emmy wystąpił wyraz cierpienia, dosięgającego niemal stopnia męki. Wyglądała znowu o lat dziesięć starszej, niż przed chwilą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwą matką, — szepnęła. — Brynia dobra jest, serce ma najlepsze, ale sam widzisz... do czego to podobne, ażeby tak ubierać się i takie kłótnie zaprowadzać... Jest to natura gruba, pospolita... w ojca wrodziła się, który był dobry, o, bardzo dobry, ale nie miał tój delikatności uczuć... tój poezji serca, które były zawsze ideałem moim... Cóż robić! stało się! nie mówmy lepiej o tём...

Przykro wzruszona, pełnym wdzięku krokiem postąpiła ku komodzie, wyjęła z szuflady talerz z ciastkami i cukierkami i postawiła go przed gościem.

— Niech cię chociaż tём przyjmę, mój Stasiu, — rzekła serdecznie.

Stanisław uprzejmie wziął jedno z ciastek; gospodyni, białemi jeszcze ząbkami gryźć zaczęła cukierek, a pragnąc odwrócić uwagę gościa od toczącej się wciąż na dziedzińcu kłótni, z przykrém roztargnieniem i na chybił trafił zaczęła:

— Rolicki kamienicę buduje...

— A dlaczegoż-by nie? Nabrał od nas pieniążków sporo i niezły sobie fundusik uciułał! Tacy to tylko, jak on, żyć teraz i panować mogą!

— Ależ to bardzo zacny i rozumny człowiek, — z żywością ujęła się za sąsiadem swym gospodyni. — Ignacy mówił o nim zawsze, że fundusz jego uczciwie jest zapracowany...

— Może i uczciwie, nie przeczę temu wcale i nawet tak jest najpewniej; ale że wziął on fundusz ten nie z czyjś innej, tylko z naszej, obywatelskiej kieszeni, to także prawda. No, niechże stryjenczka sama powie, kto, jeżeli nie my, obywatele, utrzymujemy i wzbogacamy wszystkich tych panów adwokatów, doktorów i innych, podobnych parweniuszów? Nie prawdaż? Niech stryjenka sama powie!

— Ależ naturalnie; to widoczne! — ulegając wpływowi słów jego, z przekonaniem odpowiedziała:

— I dziwią się potem, żeśmy goli! Ot powiem stryjence otwarcie, że, chociaż mam jeszcze majątek i, chwała Bogu, jestem w stanie długi moje najrzetelniej pospłacać, tak mi już i gospodarstwo to i interesy dokuczyły, że wolał-bym sto razy być takim Rolickim niż tём, czём jestem.

Pani Emma uczyniła gościa pełen przerażenia.

— Stasiu! — zawołała, — co mówisz? Jakież to porównanie może być pomiędzy tobą a Rolickim! Jesteś przecież obywatelem... o ileż to zaszczytniej, poetyczniej... wyżej...

— No tak, tak!... Któż o tём nie wie; ale świat tak się teraz do góry nogami przewrócił, że gdzie nieszczęsny obywatel ten obróci się, tam kłopot, gdzie stąpi, tam zgryzota...

Musiał mieć istotnie wiele zgryzot i kłopotów, żądań może, których zadowolnić nie mógł, obaw, które instynktowo, pod wpływem samozachowawczego zmysłu, uczuwał. Czoło jego sfaldowało się, twarz oblała się smutkiem, nerwowym ruchem targał ładne wąsiki. Nagle lży mu nadbiegły do oczu, pochwyił rękę pani Emmy i do ust ją poniósł.

— Moja stryjenczko! — mówił wzruszonym głosem, — wypowiadam się przed stryjenczką, jak przed księdzem. Co ja winien? przywykłem dobrze żyć i niczego sobie nie żałować. Czy ja mogę teraz, za młodu, zasiąść na wsi jak pustelnik, barszcz jeść i z parobkami swymi przestawać? Nuda taka, że choć pod ziemię skryj się! Trzeba czasem do miasta pojechać, a w mieście, nie chcąc, wleziesz zawsze w jakieś wydatki... To to... to owo! Zresztą, prawdę mówiąc, i po papie długi już na Żyrowicach pozostały... Czy ja święty, żebym w takie ciężkie czasy mógł majątki z długów oczyszczać? Młodość ma swoje prawa... czasem i niepotrzebnie coś się wyda... ale koniec końcem, z tego wszystkiego robi się życie ciężkie; tu urwij, tam załataj, a wiecznie tylko i myśl o tём, żeby z całej gmatwaniny i dla siebie co przyjemnego wyciągnąć, i przed ludźmi z honorem wyjść... Widzi stryjenczka, jaki jestem szczery! wszystko przed stryjenką wypowiedziałem, i proszę mię teraz pocieszać!

Wzruszony sam opowiadaniem dolegliwości swych, garnął się ku niej, jak dziecko.

— Czy stryjenczka pamięta, jak pieściła mię i przysmaczkami okarmiała, kiedym z papą do stryjowstwa przyjeżdżał?

Rozrzewniona do stopnia najwyższego, macierzyńskim ruchem odgarnęła mu włosy z czoła, i ze łzami w oczach wstała z kanapki.

— Mój Stasiu! — rzekła, — niech ja ci ulżę choć trochę i w czёмkolwiek pomogę! O tak, pamiętam cię, jak byłeś dzieckiem... takim słicznym chłopaczkiem, z włoskami co wieczór zawijanymi w papiloty. Lękałeś się bardzo ciemnego pokoju, a tak dobrze naśladowałeś ruchy i miny każdego, że umieraliśmy ze śmiechu... Jaki ty jesteś dobry, że

przychodzisz czasem do mnie i przynosisz mi z sobą odblask jakiegoś wyższego, idealnego życia, jakiegoś pięknego, błyszczącego świata.

Otarła chusteczką łzy z oczu, i bardzo kunsztownie owinęła sobie głowę wyjętym z komody szalikiem...

— Chodźmyż do Rolickiego...

U drzwi stanęła.

— Stasiu! — wymówiła z cicha.

— Co, stryjenczko?

Najróżniejsze uczucia malowały się na jej twarzy: niepokój, nieśmiałość i pewna jakby uroczyść.

Ta ostatnia przemogła.

— Stasiu! — zaczęła uroczyście, choć zawsze nieśmiałym nieco głosem, — w ręce twoje powierzam cały mój majątek... Wiész? jestem sama... prawie bezdzietna... bo Brynia... zaledwie wierzyć mogę, że jest córką moją... cóż-by więc stało się ze mną...

— Stryjenko! — zawołał Stanisław, — czyż zasłużyłem na podejrzenie takie? Niech-że stryjenka zaufa honorowi i przywiązaniu memu...

Ręce jej drżały jeszcze trochę, ale z bezgraniczną już ufnością w głosie, i wyrazem głębokiej słodyczy w błękitnych oczach. —

— Wierzę, Stasiu, — odrzekła, — wierzę..... Chodźmy!

W sionkach znaleźli Brygidę, schyloną nad samowarem i dmuchającą w niego z siłą, której-by jej nie jeden mężczyzna mógł pozazdrościć.

— Dobry wieczór, kuzyneczko, — najbardziej uprzejmym swym głosem przemówił do niej Stanisław.

Odwróciła się szybko i, przelotne zaledwie rzuciwszy na niego spojrzenie, a obojętnie odpowiedziawszy: „Dobry wieczór, dobry wieczór!” wróciła do swego zajęcia.

Pani Emma, przebywając z młodym towarzyszem swym obszerny dziedziniec, krok miała lekki i bardzo ożywione ruchy i giesta. Oglądała się w różne strony, jakby chciała zobaczyć, czy w tryumfalnej tej chwili widziana jest przez kogokolwiek z sąsiadów.

Brygida tymczasem wniosła do pokoju samowar, postawiła go na stolku i wróciła do sionek po wiązkę drewek, które ze względów oszczędności zapewne, ciężką siekierą na drobne trzaski porąbała. Z drzazgami temi przez pokój przechodząc, spostrzegła na stoliku talerz, pełen ciastek i cukierków. Stanęła i, patrząc na przysmaki, któremi przed chwilą matka jej tak uprzejmie gościa swego częstowała, na-pół żałośnie, na-pół gniewnie głową wstrząsnęła.

Potem rzuciła w komin garść trzasek, zapaliła je, i przystawiła do ognia garnek z zastygłym rosółem. Wyszła znowu do sionek i wkrótce przechodziła przez dziedziniec z ciężkim wiadrem w ręku, które, napełniwszy wodą u bliższej studni, jakkolwiek silna, lecz zmęczona już, do sionek wniosła. Tam krzątała się i szamotała dość długo jeszcze, myjąc naczynia, wymiatając sionki i krając chleb razowy, którego też parę kawałków na talerzu przyniosła i obok samowara postawiła. Teraz zdjęła z głowy wielką, okrywającą ją chustkę, a twarz jej ukazała się, pośród gęstwiny czarnych, prześlicznych włosów, śniada, z regularnymi i wyrazistymi rysami, z dwojgiem wielkich oczu, które, głębokie i ciemne, z pod energicznego łuku czarnych brwi patrzyły z ponurym prawie smutkiem. Oprócz smutku, piękną tę twarz kobiecą cechował jeszcze wyraz przyrostego jakby do niej rozjątrzenia. Stanęła u okna, śniady policzek oparła na zgrubiałej, ciemnej, spracowanej dłoni, a w postawie tej, nieruchoma i zamyślona, pozostała tak długo, że widziała, jak matka jej u drzwi mieszkania adwokata zęgnęła się z młodym krewnym, jak on ją czule w rękę całował, jak o czemś z sobą długo poufnie z cicha mówili, jak ona wdzięcznie śmiała się z wesołych zapewne żartów jego, i jak potem z ożywionym wyrazem twarzy, z uśmiechem na zarumienionych ustach, przebiegła dziedziniec i weszła do mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca. Brygida, ruchem niecierpliwości pełnym, wzruszyła ramionami; krótki, szydery śmiech ozwał się w szerokiej jej piersi; zmarszczyła czoło, i pochyliwszy się nad koszem, pełnym bielizny, czynnie i prędko zaczęła ją oglądać, składać i chować do jednej z szuflad komody. Nagle wyjęła z szuflady i podniosła w górę kolorowy lachmanek jakiś, krawat, czy wstążkę.

— I to wczora kupione! — szepnęła.

I wypuściwszy z palców nowy ten jakiś strój pani Emmy, stanęła znowu w uprzedniej postawie, z policzkiem opartym na dłoni, a po chwili basowym nieco, posępnym głosem swym wymówiła z cicha:

— Czyż to już zawsze tak będzie?

Pani Emma tymczasem weszła do mieszkania, które, tak jak i zajmowane przez nią, składało się z sionek i jednego pokoju. Pokój ten tylko wyglądał wcale inaczej. Niedostatków tu było, ale nadzwyczaj, pedantycznie niemal, czysto i porządknie. Tu także znajdował się komin, do gotowania przeznaczony, ale czysto wymiecione wewnątrz jego nie potrzebowała osłony żadnej. U okien firanek nie było, przy jednym z nich zieleniło się świeżo kilka wazonowych roślin, a szyby drugiego znikły prawie pod rozwieszonymi na nich różnobarwnymi wyrobami rąk kobiecych. Były to wyroby małej, szczupłej osóbkki, która, siedząc na niskim stołeczku pod oknem, pilnie zajęta była wykończaniem malutkiego dzieciennego bucika z włóczki. Welniana suknia, gładka, tabaczkowego koloru, i gładko też uczesane, w mały warkoczyk z tyłu głowy zwinięte, włosy, świadczyły o niewytworności jej gustu, zarówno jak okrągła, rumiana twarz, i czarne, małe oczki zdradzały wyrazem swym wielką żywłość i wesołość temperamentu. Pomimo jednak rumieńców i wesołości, osóbkka ta wyglądała na lat przeszło czterdzieści. Głośnym okrzykiem powitała wchodzącą i, zrywając się ze stołeczka swego, zawołała:

— Mamo, mamciu! pani radczyni...

Wołanie to przerwało drzemkę drugiej, znajdującej się w pokoju tym, kobiety. Była to postać dość osobliwa: wysoka, sucha, z ostremi rysami, obleczona skórą delikatną i żółtawą, włosy miała siwe jak srebro, przykryte śnieżnie białym i strojnie wygarniowanym czepeczkiem, na długim, cienkim, nosie okulary w złotej oprawie, a na kolanach wielką, podartą, rozwartą książkę do nabożeństwa. We francuzki szal, z szerokimi szlakami, owinięta, zajmowała ona jedyny zbyt kowny sprzęt, jaki się znajdował w mieszkaniu, wielki, wygodny, staroświecki fotel. Budząc się, pośpiesznym ruchem poprawiła układ swego szala, wyprostowała się jak struna, a na ostre rysy swe przywołała wyraz wielkiej powagi.

— Witam, witam, — wyrzekła uroczystym, nosowym nieco głosem, i giestem, pełnym łaskawości, wyciągnęła do przybyłej chudą, żółtą rękę. Pani Emma z pewnym rodzajem przymilenia i nieśmiałej czci, zbliżyła się ku dumnej staruszce.

— Przepraszam, przepraszam, — mówiła — obudziłam panią prezydentową... ale był u mnie dziś Staś Żyrewicz...

Chciała mówić dalej, lecz obie kobiety wydały taki okrzyk, jak gdyby tuż, obok nich, zaszedł nadzwyczajny jakiś wypadek. Wązkie i przecięte wargi staruszki rozwarły się uśmiechem, rumianą twarz jej córki oblał potok wesołości.

— Był! — zawołały jednogłośnie; potem zapraszały obie, każda na sposób inny, panią Emmę, aby usiadła.

— Niech pani radczyni będzie łaskawa usiądzie, — uroczyście mówiła stara.

— Niech pani kochana siada! proszę usiąść, — szczebiotała jej córka.

— Dziękuję pani prezydentowej! dziękuję pannie Rozalii; przyszedłam właśnie powiedzieć, że Staś kazał oświadczyć paniom najpiękniejsze ukłony.

— Co to ukłony! jak-to ukłony! nie zaszedł, nie odwiedził... a należy się to przecież wujecznej ciotce jego, bo my, Pani Dobrodziejko, w blizkiem jesteśmy z sobą pokrewieństwem. Nieboszczka prababka moja, Sernicka z domu, z tych Sernickich, którzy Odropole w Ongrodzkim powiecie mieli, a potem co na exdewizyę poszło i lichy wszystko wzięło... otóż, nieboszczka prababka moja miała dwie córki, z których jedną wydała za Bodrzyńskiego, z tych Bodrzyńskich, do których należał kiedyś klucz Bodrzyński, ale on miał już jedną tam piękną wieś, sto chat podobno, a druga córka wyszła za Żyrewicza, dziada właśnie pana Stanisława, który miał trzech synów: Bolesława, Karola i Jana. Pan Stanisław jest synem Bolesława, bardzo ładnego za młodu chłopca, ale wielkiego utracyusza. Przeświślał też on Międzyzlesie, a na Żyrewiczach dłużki w sukcesyi synowi pozostawił. Szczęściem chłopiec sprytny... da sobie rady... da sobie rady... ale czemu nie zaszedł dzisiaj, nie odwiedził... to, to, to, nie dobrze... to, to, to, nie pięknie... nie pięknie...

— Robótek moich nie zobaczył! — nagle i niespodziewanie zawołała mała osóbkka, wstrząsając w powietrzu błękitnym bucikiem, jakby całemu światu pochwalić się nim

chciała. — On zawsze tak chwali robótki moje, i kiedyś to nawet dość ich dużo pomiędzy znajomymi swymi rozprzedał. Bardzo dobry! o, Staś bardzo dobry!

— Że dobry, to dobry, — przytwardziła stara, — dla starszych z uszanowaniem, grzeczny, układny, znać krew obywatelską... dobrą krew... piękną krew... i w dobrym świecie żyje, w pięknym świecie, och! och! och!

Po przeciągłym westchnieniu tём smutnie czas jakiś wstrząsała głową, a zaciśnięte znowu wargi jój i siwe źrenice gniewnie, polyskujące, zdawały się mówić: „i ja kiedyś na świecie tym żyłam, i ja do niego z prawa należę! och, och, och!”

— A jakże Stasieczek ma się? czy zdrów? czy wesoły? — przerywając sobie pół-głośnie liczenie oczek, zaszczębiotała znowu panna Rozalia.

— Zdrów, dzięki Bogu, i wesoły, chociaż... nie bardzo. Dokuczają mu interesa, małe tam dłużki jakieś, gospodarstwo... Martwi się biedak i zdaje mi się nawet, że zmizerniał. Szkoda go, doprawdy... taka to piękna, wzniosła dusza...

Stara zaplotła na kolanach ręce, i sztywna, jak mocno naciągnięta struna, głową tylko wstrząsała.

— Tak, tak! upada obywatelstwo nasze, upada! Czy to kto słyszał kiedy, żeby dziecko takiej rodziny gryzło się i mizerniało od kłopotów i nieprzyjemności! Motłoch teraz górą, pani moja, motłoch górą! a nam przyszło ot w dziurach takich siedzieć i patrzeć, jak dobra naszego różne figury używają... Ot, byłam dziś z wizytą u marszałkowej Korzyckiej, tego Korzyckiego żony, co to z Odropolskiej rodzi się i Ligówkę ma... piękną fortunę z pałacykiem i angielskim ogrodem... Miła osoba, bardzo miła... gościnna... przyjęła mię bardzo grzecznie, przypominała, że, będąc dzieckiem, znała mię, kiedy mieszkałam jeszcze w moich Łopotnikach i sąsiadowałam z jój rodzicami. Zapytałam się jój, czy nie wie czego o Łopotnikach. „A jakże! — mówi, — bywamy tam z mężem”. Pytam się: u kogo? kto tam mieszka? Powiedziała, że „Wyzliński jakiś, lichy wie kto i z kąd, przybłęda z końca świata, przyjechał, Łopotniki kupił i rozpiera się w nich sobie, jak pan wielki... My to choć znajomemu i sąsiadowi sprzedaliśmy naszą fortunę... kiedy już koniecznie trzeba było, i zawsze myślałam sobie: no, przynajmniej z dobrej familii człowiek na naszym miejscu osiadł, bo to ten był... Prażnicki, z Saniewa i z Saniewskiej urodzony, który przez kupienie Łopotnik dobra swe chciał zaokrąglić, ale teraz, fiut! i przewróciło się wszystko do góry nogami! Prażnicki zbankrutował i dzieci jego poszły gdzieś w służbę, czy co u licha, a w Łopotnikach rozpiera się jakiś Wyzliński... żeby jego diabli ztamtąd wyparli! Ciekawam, czy choć uszanował on i porządnie utrzymuje dom ten, w którym ja większą połowę życia szczęśliwie przeżyłam, i tę aleję z akacją, którą z nieboszczykiem Romualdem zasadziliśmy własnymi rękoma. Nie chciałam nawet pytać się o to marszałkowej, bo żeby mi co złego powiedziała, była-bym rozplakała się, a dla mnie... okazywać żal przed ludźmi... nie wypada... nie wypada! przed jednym tylko Bogiem mogę... to, to, to, przed jednym tylko Bogiem...

Wyjawiała przecież, pomimo *niewypadania*, i przed ludźmi, bo stara powieka nie była dość silną, aby powstrzymać łzę, która, przy wzmiance o domu w Łopotnikach i akacyowej alei, na żółtką kartę książki do nabożeństwa upadła.

— Mamciu, — jękliwym głosem zawołała Rozalia, — niech mamcia nie płacze, moja mamciu! oczy będą boleć! mnie aż serce pęka, kiedy widzę, że mamcia płacze.

Robótkę upuściła na podłogę, przyskoczyła ku matce i, przysiadłszy u nóg jój, kolana jój całowała. Stara pogłaskała ją, jak małe dziecko, po gładziutko uczesanych i wypomadowanych włosach, ale wnet usunęła ją z lekka od siebie.

— Pamiętaj, Róziu, że mamy gościa, — wyrzekła uroczyście i zwróciła się do pani Emmy.

— Niech pani radczyni daruje... ale my z córką przywykłyśmy dawne czasy wspominać... ona także jest ofiarą tych wszystkich zmian i obrzydliwości, które się na świecie porobiły. Obywatelską córką będąc za pierwszego lepszego wyjść nie mogła, a odpowiednia partya nie trafiła się. Nie skarży się ona na to, bo wpoila w nią to przekonanie, że lepiej cierpieć i choć-by zginąć, aniżeli poniżyć się. Zamiłowała robótki swoje, pielęgnuje matkę, i lepiej jój z tём, niż gdyby była rozromansowała się i zrobiła mezalians jaki... Prawda, Róziu?

— Prawda, mamciu, prawda! — szczębiotała Rozalia, rumiany policzek swój tuląc do twardego kolana pani prezydentowej, która, pochylając się ku pani Emmie w sposób taki,

w jaki pod dotknięciem jakiegoś pochylają się posągi, z tajemniczym wyrazem twarzy, i z cicha zapytała:

— A nie mówił tam Staś czego o naszych procentach, he?

Pani Emma zmieszała się nieco. Jój samój procenta jeżeli nie leżały na sercu, to przynajmniej, wraz z mnóstwem innych rzeczy, wirowały często po głowie; z drugiej jednak strony pragnęła bronić Stasia od zarzutów, które przewidywać mogła.

— Tak... wspominał, — wyjąkała, — mówił, że wkrótce wypłaci i mnie, i pani prezydentowej...

— Wypłaci? wkrótce? to dobrze... to dobrze... to dobrze! żeby tylko prędkiej, bo ot już z górą rok żyć bez procentu trudno trochę, trudno... Już i herbatę tańszą zaczęłyśmy kupować... i to za pieniądze Rózi... z robótek! — prawiała stara; — już z górą rok połową tylko procentu i jój robótkami... a choć to dla panny stosowne zajęcie, ale oczy... to... to... to... oczy mężczy...

Tu głos jój zadrżał trochę.

— Czy pannę Rozalią oczy bołą? — zapytała pani Emma.

— Ej, nie! — odparła szybko, — czasem... trochę... ale to nic!

— I może czasem nie rozprzedać robótek...

Tym razem pilna robotnica aż podskoczyła na swym stołeczku.

— Ja! nie rozprzedam moich robót! — zawołała, — zapewne! a gdzież oni znajdą ładniejsze!... żebyśmy miała cztery ręce, tobym ich dwa razy tyle rozprzedala. Ot i te buciki, dawno już zamówione, i jeszcze trzy pary takich samych, a teraz mam w głowie projekt na paciorkowe profitki... prześliczne... nie wiem jeszcze tylko, czy z białymi paciorkami, czy bez białych...

— Panna Rozalia jest prawdziwie nieustrudzoną, — wtrąciła pani Emma.

— Zamiłowała... zamiłowała... to bardzo pięknie dla panny, jeżeli zamiłuje robótki... bardzo stosownie... ot, już panna Brygida inne ma gusta... ale ja ich nie pochwalam, nie pochwalam!

Wdowa zarumieniła się gorąco.

— O, i ja także! — zawołała, — ale cóż zrobić? Brynia jest uparta i ma taką grubą naturę.

— Grubą, bardzo grubą! — potwierdziła Łopotnicka, — któż kiedy widział, aby panna rąbała sama drzewo, nosiła wodę i prała bieliznę... jeżeli już nawet zmuszona jest do tego, powinna ukrywać się, robić to tak, żeby nikt nie widział... ale tak! jak prosta dziewczka ubierać się i pracować... nie wypada! to, to, to, to, nie wypada!

— Wieczna to zgryzota moja i wstyd! — szepnęła pani Emma, a na twarz jój wybił się, nigdy u niój niewidwany, wyraz gniewu.

— Pani radczyni zresztą tak bardzo tego czuć i do serca brać nie możesz, — mówiła dalej staruszka, — bo chociaż rodzice i mąż pani byli porządnymi i zamożnymi ludźmi... nie ubliżam, nie ubliżam... bardzo porządnymi i zamożnymi... zawsze jednak w urzędniczym stanie nie może być tego punktu honoru i tój ambicyi...

— Matka moja była obywatelską córką, — wtrąciła nieśmiało Żyrewiczowa.

— Prawda, prawda, zawsze jednak to... to... to... nie to...

Głęboka pokora odmalowała się na twarzy i w postawie wdowy.

— Pani prezydentowa ma rację, — odrzekła z cicha, — to tóż jedyny żal, jaki mam do rodziców moich, jedyny żal... to, że nie wydali mnie za obywatela; bo przecież... starało się ich o mnie kilku!

— Brynia, — ozwała się Rozalia, — Brynia zawsze mi tyle dobrych rzeczy opowiada o swoim ojcu... mówi ona, że on bardzo kochał panią.

— O! tak, — zawołała z wybuchem wdowa, — Ignacy ubóztwiał mię... tak! byłam ubóztwianą... ale, nie wiem dlaczego, ściagała mię zawsze nieokreślona jakaś tęsknota... czułam zawsze, że mam skrzydła zwichnięte, że mi coś innego, wyższego, promienistszego od świata należy!

— Mało komu się co należy! — sarknęła Łopotnicka, i długim spojrzeniem ogarnęła schyloną znów nad błękitnym trzewiczkiem głowę córki. — Mało komu się należy! — powtórzyła, trzęsąc głową, — już-to ja, na przykład, co najmniej do szanowania ludzkiego pretendować mogę... bo przecież i wiek mój, i stan, i to... to... to... A jednakowoż zdarzają się nieprzyjemności takie... Ot, niech pani radczyni imaginuje sobie, co mię dziś, dziś,

w biały dzień, po środku ulicy spotkało! Szłam dziś z wizytą do marszałkowej... Różia wczoraj odnosiła serwetkę siatkową, którą zamówiła u niej ta tam... jak-że się nazywa?...

— Płocińska, doktorowa... — przypomniała Rozalia.

— Aha, ta, doktorowa... i dowiedziała się od niej, że marszałkowa jest w mieście. Bo to ten Płociński, to z gminu podobno, z mieszczan, ale ona Zężanka z domu, z Odropol-skimi przez matkę spokrewniona, i ztąd z obywatelstwem ma stosunki... Rózi z sobą nie wzięłam, bo toalety wizytowej nie ma, a dla mnie stariej w szalu moim i czepku, wszędzie... przystoi... Szłam tedy Sklepową ulicą, pomaleńku, bo ten reumatyzm w nogach, i trudno już po bruku chodzić... kijem moim podpierałam się... ja bo bez kija mego ani kroku nie robię... pomiędzy terazniejszych ludzi, jak pośród rozbójników, bez kija ani stąpić... Porządnego człowieka na ulicy rzadko zobaczysz, a tylko ten szary motłoch w drogę włazi, a jak mi już te różne figury, żydy, mieszczany i lichy wie kto, bardzo w drogę wleżą, to takiego moim kijem młynka puszczyć, że się na cztery wiatry rozlatują... to... to... to... cha... cha... cha...

Śmiała się serdecznie z młynka swego i ustępującego przed nim motłochu.

— Ale cóż to panią prezydentową dziś spotkało! — zagadnęła Żyrewiczowa.

— Aha... przyszłam nad rynsztok jakiś, i kiedy przyszło przestąpić go... ani weź! Reumatyzm ten... i nogi nie słuchają! Spróbowałam raz, spróbowałam drugi raz, i oglądam się, jakby tę przeszkodę ominąć, aż tu słyszę obok siebie: „Niech pani pozwoli, ja pomogę!” Fircyk jakiś, pani moja, porwał mię za ramię, i tak zgrabnie jakoś podparł i pociągnął, żem się na drugiej stronie rynsztoka znalazła, podeszwy u trzewika nie zamoczywszy. Rozgniewałam się okropnie: „Kto panu pozwolił? — pytam się, — jak pan śmiałeś? Czy pan wiesz, kto ja jestem?” „Chciałem dopomódz,” — odpowiada. Pasya mię już ostateczna porwała. „Mój panie, — mówię, — jeżeli nie wiesz o tém, to ja stara nauczyć cię muszę, że do osoby z przyzwoitej kompanii nie wypada ani przemawiać, ani zbliżać się, nie będąc jój zaprezentowanym.” Co pani radczyni powiesz na to? Urwis ten parsknął mnie w oczy i pobiegł, śmiejąc się jak szalony. Z ubrania i figury, wyglądał nawet na coś porządnego, ale teraz wszyscy wykrojeni na jeden model, i pan, i szewc, ani poznasz, z kim masz do czynienia...

— Ten pan... tak sobie... z dobrego serca pewnie, — spróbowała ująć się Emma.

— Co to dobre serce! — ofuknęła stara, — kpię ja z dobrego serca tych wszystkich gburów i dorobkiewiczów, którzy teraz świat zaludnili... To był gbur jakiś, człowiek bez wychowania, bez obejścia się, i to... to... to... koniec.

— Ależ naturalnie! jakże! nie będąc przedstawionym, zbliżać się do kogoś... — pośpieszyła z potwierdzeniem Żyrewiczowa.

— Ten pan nie wiedział, kim mama jest, i myślał może, że to Bóg wie kto, — zauważyła Rozalia, i dodała: — Staś pewnie nic-by podobnego nie zrobił...

— Staś pochodzi z dobrej familii, — uroczyście wyrzekła Łopotnicka.

— I takie ma miłe obejście się, taką delikatność uczuć, — dodała z pośpiechem Żyrewiczowa. — Cieszę się doprawdy, że przynajmniej będzie on miał dziś miłą chwilę i zabawi się trochę...

— Gdzież to dziś Staś bawić się będzie? — zapytały jednogłośnie matka i córka.

— U Rolickich wieczór tańczący...

— Dziś?

— Dziś.

Rzecz dziwna, że wiadomość ta większe wrażenie wywarła na pani prezydentowej, niż na jój córce. Rozalia zachichotała tylko, mówiąc:

— To dobrze! zdaleka posłucham muzyki!

Stara zaś szeroko usta otworzyła i oczy jój błysnęły.

— U nich tam piękne towarzystwo bywa, — mówiła, — pewnie i marszałkowa z córkami będzie. Rolicki, choć adwokat, jest obywatelskim synem... z Pokutnickiej się rodzi... Matka jego miała majątek, Pokutowo, tuż przy drodze pocztowej, niedaleko Ongrudu... pewnie zbierze się u nich kompania piękna... oprócz marszałkowej dużo dawnych znajomych, których jeszcze dziećmi znałam... och, och, och!

Żyrewiczowej błyszczały oczy i rumieniły się policzki.

— Pani prezydentowo, — zaczęła nieśmiałym głosem, — a żebyśmy tak, jak przeszłej wiosny, poszły i przez okno popatrzyły, jak oni tam będą poubierani i jak będą tańczyć... Staś ślicznie tańczy... brał lekcje u... tego sławnego metra.

— A dobrze, dobrze, — po krótkim namyśle odpowiedziała Łopotnicka, — czemuż nie! rozerwę się trochę... i jeszcze raz przed śmiercią... ich zobaczą!... och, och, och!...

Niech pani radczyni przyjdzie tylko po mnie, jak zaczną tam grać i tańczyć...

Pani radczyni wstała i zaczęła się żegnać. Teraz, z ruchu przynajmniej i ożywionego wyrazu twarzy, wygląda na lat dwadzieścia.

Rozalia za to spochmurniała trochę.

— Mama jeszcze zaziębi się, na dziedzińcu stojąc wieczorem... i przytém... czyż to wypada?

— No, no! — gniewnie ofuknęła matka, — niechaj jaja kur rozumu nie uczą! Już ja wiem, co robię. Po ciemku wszystkie koty szare... Kto mię tam pozna!

Po wyjściu wdowy, Łopotnicka, więcej do siebie, niż do córki, mówiąc, zaczęła:

— Tę kobiecinie zdaje się, że i ona coś znaczy na świecie, dla tego, że mąż ję był z obywatelskiej rodziny, i że jeden jego krewny do tego czasu ją odwiedza... Pnie się to do wyższych... pnie się... co moment zagląda do nas, a ogląda się, czy ludzie widzą, że u nas bywa... Całe życie pięła się... obiadki i wieczorki wydawała... a córkę to wychodowała na prostą dziewczkę.

— Ja Brynię bardzo lubię, — ozwała się z nad roboty swęj Rozalia.

— A cóż robić? kiedy już los przybliżył nas tak do tych ludzi, to... to... to... znoś ich musimy... Ale co tam lubić? poco lubić? zaco lubić? grubianka! śmie z tobą kłótnie rozpoczynać...

— I mnie kłótnie te dokuczyły bardzo... ale ona taka biedna!

— Co to biedna! dlaczego biedna!...

— Tak, — wahającym się głosem odparła Rozalia, — marnuje się...

— Dlaczego... — zaczęła stara, ale urwała nagle, i ostry, wyniosły wzrok siwych swych oczu przenikliwie w córkę wlepiła. — Marnuje się! marnuje się! — zamruczała po kilka razy, a patrzyła wciąż tak, jak gdyby zbadać i odgadnąć chciała: dlaczego córka ję wspomniała o marnowaniu się swęj sąsiadki, i co pod wyrazem tym rozumiała, i czy wypadkiem sama o sobie w podobnyż nie myślała sposób. — Marnuje się! — szepnęła raz jeszcze, — wielka rzecz! nie ona jedna... nie ję nosem panny...

Nie dokończyła znowu. Wysokie, żółte czoło ję, otoczone pasmami siwych jak srebro włosów, okryło się ciężką chmurą zgryzoty, pomieszanej z gniewem.

Szarzało już, gdy ozwała się do córki:

— Ciemno już, nie psuj oczu; idź do sionek i samowar nastaw.

— Wody niéma; Marcinowa dziś nie przyszła... chora, czy co? — z trudnością, odrywając się od zajęcia swego, odpowiedziała Rozalia.

— No, to weź dzbanuszek i przynieś ze studni... bo potrzebuję bardzo ciepłej herbaty wypić... Ciemno teraz... dzbaneczek dobrze schowaj pod chustkę, nikt nie zobaczy.

Żyrewiczowa, wracając do mieszkania swego, znalazła Brygidę, siedzącą na wschodzie, rozdzielającym próg z ziemią, i trzymającą na kolanach swych wielką, kudłatą głowę podwórzowego psa. Pies tulił do kolan ję grzbiet swój, żółtą sierścią okryty, a ona, obie ręce na głowie jego trzymając, schylona, mówiła do niego pół-głosem:

— Dobry Wilczek! pocziwy Wilczek! mój... mój... mój... Wilczek!

Piękne, surowe zwykle usta ję, rozwierały się czułym prawie uśmiechem.

Spostrzegłszy matkę, podniosła głowę i, w zwykły sobie szorstki sposób, rzekła:

— Herbatę i rosół dla mamy przygotowałam... lampy tylko nie zapaliłam, żeby darmo się nie paliła.

Na stoliku, przed kanapką, zasłanym czystą serwetką, obok talerzy z odegrzanym rosolem, i innych, skromnych bardzo przyborów, stała szklanka z nalaną herbatą. Znajdowała się też tam lampka, do zapalenia przygotowana i wiązka zapalek. Ale pani Emma nie zapaliła lampki i nie tknęła przygotowanej wieczery. U wejścia do mieszkania spotkały ją dwa wrażenia: szaręj godziny i świeżęj tu bytności młodego krewnego ję męża. Westchnęła, stanęła u okna i chwil kilka dumiała. Usta ję poruszyły się zwolna i wyszepętały: „Tyle szczęścia, co się prześni, tyle życia, ile w pieśni”. Powolnym krokiem zbliżyła

się do fortepianu, usiadła na stołku i przebiegła klawiaturę passażem, w kilku momentach fałszywym, ale szybkim i tak delikatnym, jak przeciągłe, przyciszone westchnienie. Potem uderzyła kilka akordów, aż na koniec, z cicha i trwożnie, jakby lękała się spłoszyć zgromadzone dokoła niej duchy tęsknot i marzeń, głosem słabym, lecz młodym jeszcze, czystym i dźwięcznym przy delikatnym wtórze fortepianu śpiewała:

— O, powiedz mu, że niepojęta siła
Do jego życia wiąże moje dni!
O, powiedz mu...

Była właśnie w połowie drugiej strofy pięknej tej pieśni, gdy Brygida ze stukiem weszła do pokoju, zapaliła lampę i głośno rzekła:

— Niech mama je kolacją, bo zupełnie już ostygnie...

Przebudzona z zadumy zapaloném światłem i głosem córki, straciła wątek pieśni, od fortepianu wstała i, usiadłszy na kanapce, z apetytem wielkim zjadała odgrzewany rosół, znajdujący się w nim kawałek mięsa, i wypła dwie szklanki herbaty z razowym chlebem. Pijąc herbatę, spoglądała wciąż przez okno, oczekując zapalenia się świateł w oknach bogatego adwokata.

Nakoniec okna te zajaśniały oświetleniem rzęsiśtem, w dziedziniec wjeżdżały powozy i dorożki, wchodziło sporo pieszych pań i panów, ozwały się głuche, bo oddalone dźwięki fortepianu i skrzypiec. Pani Emma porwała się z kanapki, zarzuciła na plecy mantylkę, a na głowę szalik, i wybiegła. W kwadrans potem trzy postacie niewieście wyszły z mieszkania Łopotnickiej i przez dziedziniec, pogrążony w zmroku, dążyły ku oświetlonemu i gwarem napełnionemu domowi. Żyrewiczowa i Rozalia postępowały za panią prezydentową, która szła przodem, pomimo reumatyzmu w nogach, stąpała śmiało i szeroko, a wyprostowana jak struna, z głową wyniosłe podniesioną, kijem swym grubym i w kościany nagłówek zaopatrzoną, o bruk dziedzińca stukła. Emma z cichym chichotem i ruchami rozbawionego dziecka, szeptała wciąż do Rozalii, która co chwilę szept ten przerywała zapytaniem, do matki zwracaniami:

— Czy mamie nie zimno?... Czy kalosze z nóg nie spadają? Czy mama dobrze ścieżkę widzi?

Wyniosła staruszka nie odpowiadała nic; wąskie usta jej zacięły się gniewnie, a siwe brwi, nad złotą oprawą okularów, groźnie zmarszczyła. Oczom jej przedstawił się widok, którego się nie spodziewała. Zwabiona muzyką i gwarem, liczna gawiedź, przybiegła ku budzącym ciekawość oknom. Byli tam dorożkarze, mający czekać na przywiezione przez siebie osoby, barczyści, brodac i z fajeczkami w zębach; były też wyrostki żydowskie, szwargocące i giestykujące z sobą zażarcie; kobiety jakies, z głowami ukrytymi w wielkie chusty; kilka nawet osób takich, których ubranie, złożone z kapeluszy i paltotów, wyróżniało się pośród tłumu.

Łopotnicka stanęła, jak wryta w ziemię, i twarzą obróciła się ku swym towarzyszkom.

— A co? Czy nie mówiłam, że za tym motłochem, porządnym ludziom teraz ani nosa za okno wyścibić nie można! Gdzie obrócisz się, wszędzie tém spóółstwem świat zanieczyszczony. I poco to?... to... to... tu przyszło? poco to... to... to żyje na świecie? Po to chyba, żeby nam w drogę włożyć!

— Może-by lepiej nie iść! — jęknęła Rozalia.

— O, idźmy! idźmy! — błagalnie składając ręce, prosiła pani Emma. — Tam tak bawią się... i Staś już jest... widziałam, jak przyjechał...

— Stasieczek kochany! — szepnęła Różia, ale wnet dodała — moja mamciu, ja boję się, żeby mamci nie wyszturchali...

— Nie doczekanie ich! ja ich wyszturcham! rozstąpią się tu oni przede mną! — z gniewem sięgającym pasy zawołała stara i zaczęła znowu iść na przód, krok jej stał się silniejszym jeszcze, zamaszystszy niż przedtém, kija już nie spuszczała ku ziemi, ale trzymała go przed sobą na podobieństwo bagnetu; — w oczach jej błyszczała niewysłowiona wzgarda. Zbliżywszy się do wielostopniowego muru pleców, dzielącego ją z oświetloną oknami, zawołała gromkim głosem. — Proszę o drogę!

Naturalnie, nikt ani myślał być posłusznym.

— Proszę tu nas przepuścić! proszę zaraz nas tu przepuścić! donioślej jeszcze powtórzyła.

Za całą odpowiedź, w tłumie odzywały się szeptem.

— Patrzajcie! patrzajcie! patrzajcie! O! o! jak grają! *Sieh! hörste! a schöne panienkes!* Szeroko Julku oczy otwieraj! Oto suknia, jak słońce!

— Poczekajcie! — mruknęła pani prezydentowa i, łokciami wparłszy się w pośród pierwszych szeregów, kij swój w dziwnie szybkie, a zręczne wirowanie puściła. Krzycząc, łając, grożąc, przeklinając, zasłaniając głowy ramionami, ludzie rozskakiwali się w różne strony, a ona, obojętna na obudzane przez się wrażenie, tryumfalnie wraz z dwiema idącymi za nią kobietami przystąpiła do jednego z okien i, z pomocą Rozalii na kamień jakiś wgramoliwszy się, głośno wyrzekła:

— Mówię zawsze, że w teraźniejszym świecie, jak przeciw zbójom, kij zawsze z sobą nosić trzeba... żeby nie kij, to... to... to... to... te żydy i mieszczaństwo zgubili-by nas do reszty!

W godzinę potem, z tłumy stojącego pod oknami domu, w którym brzmiała muzyka, wysliznęła się drobna ciemna postać kobieca i, przesunawszy się przez dziedziniec, stanęła przed drzwiami mieszkania Żyrewiczowej. Tu, na wschodzie, siedziała Brygida, z łokciem opartym na kolanie i policzkiem w dłoni; przy niej leżał żółty pies, którego ona od chwili do chwili machinalnie gładziła.

— Cóż — ozwała się krótko i szorstko — czy dość już patrzenia?

Mała osóbką usiadła przy niej.

— Zła jestem — odpowiedziała — na twoją matkę, że wyciągnęła moją mamę na to patrzenie! Zmęczy się tylko, zaziębi się jeszcze broń Boże, a przytém... to ubliżenie... jakoś nie wypada!

— A no! — rzekła Brygida, z właściwym sobie głuchym, stłumionym śmiechem; — ale za to napatrzają się śliczności! A ty, czemu wróciłaś tak prędko? nie ciekawaś?

Rozalia rzuciła ręką.

— Ej nie! czy to ja takie rzeczy widziałam? Czym się mało sama natańcowała, kiedy jeszcze nieboszczyk papa był prezydentem sądu powiatowego... I potem, choć Łopotniki były sprzedane, rodzice kupili tę kamienicę, co to przy Sklepowej ulicy, na czekoladowy kolor pomalowana, i przez kilka lat jeszcze doskonale bawiono się u nas... Mama chciała wtedy za męża mię wydać...

— No, to i czemuż nie wydała?

— Ot, nie zdarzyło się nic stosownego. Miałam kilku starających się... ale nic stosownego! Mama nie pozwalała i... sama nie chciałam... Lepiej wcale nie wyjść za męża, jak poniżyć się i wyjść niestosownie.

— Aha! — mruknęła Brygida.

— A ty wcale nie chodziłaś patrzeć na te tańce? Czy ty także dużo tańczyłaś wtedy, kiedy rodzice twoi dobrze się jeszcze mieli?

— Bardzo mało — odpowiedziała.

— A dlaczegoż to?

— Dlatego, że matka moja bardzo dużo tańczyła.

Rozalia zachichotała.

— Ależ pani radczyni miała już lat ze czterdzieści, kiedy pan radca umarł?

— To nic; wyglądała na dwadzieścia pięć...

— No, no! ależ zawsze... ty jesteś i teraz bardzo przystojna, a ośm lat temu.

— Do końca ośmnastego roku nosiłam krótkie sukienki i haftowane majteczki, a czy byłam przystojną, albo nie, nikt nie wiedział. Wszyscy widzieli, że mama przystojna...

— No, no! — dziwiła się wciąż Rozalia; — moja mama to znowu zupełnie inna, zupełnie inna... Jak zapamiętać mogę, zawsze już w czepeczku chodziła i okazywała siebie starszą nawet, niżeli była, a tylko o mnie troszczyła się: żebym miała ładne ubranie, żebym dobrze wyglądała, żebym wesoło bawiła się i stosownie za męża wyszła...

— Toś ty bardzo szczęśliwa! — wtrąciła Brygida.

— Dlaczego, Bryniu?

Nie odpowiedziała, ale Rozalia sama po chwili dodała:

— Toż całe dobro moje na świecie!

Brygida dosłyszała w głosie jęj odgłos smutku i, z większym niż dotąd zajęciem, zwróciła się do towarzyszki.

— Rodzeństwo miałaś?

— Nie; jedynaczką byłam zawsze.

— To i w tém szczęśliwą jesteś.

— A czemuż?

— Bo sto razy lepiej jest nie mieć, niż tracić!

— Aha! — zawołała Rozalia — wiem, wiem. Pani radczyni wspominała kiedyś, że miała dwóch synków...

— A miała.

— Pomierali?

— Pomarnowali się.

— Jakto pomarnowali się?

Po raz to pierwszy dwie sąsiadki tak długo i poufnie rozmawiały ze sobą. Opryskliwa i ponura Brygida skłonniejszą była do kłótni, aniżeli do pogadank i zwierzeń. Czy w łagodniejsze i bardziej miękkie usposobienie wprawił ją Wilczek, który od czasu do czasu, budząc się, podnosił wielki łeb swój i lizał jęj rękę? Z policzkiem opartym na dłoni, i kołyszając się z lekka, opowiadała:

— Raz było u mamy dużo gości, z miasta poprzychodzili, ze wsi poprzyjeżdżali... Konradka, który dwa lata wtedy miał, Niemka do kuchni wniosła i na stole posadziła. W kuchni zamęt, zwyczajnie jak w niebardzo bogatym domu, kiedy wystąpić chcą... ktoś trącił i stół przewrócił się... dziecko do beczki z wodą wpadło...

— Utopiło się! — wykrzyknęła Rozalia.

— Nie, ale dostało gorączki i umarło.

— A drugi?

— Drugi — spalił się.

— Jezus Maria!

— Sukienkę sobie w garderobie przy ogniu zapalił: okropnie męczył się przez dwa tygodnie i umarł. Miał już cztery lata... chłopunio mój najmilszy... pochowali z braciszkiem, szkoda, że i nie ze mną także...

Oczy jęj błyszcząły w cieniu, jak dwa ciemne płomienie. W przytłumionym głosie brzmiała gorycz ostra i zawzięta.

— Ja! oho! — kończyła — mnie ani ogień, ani woda, ani lzy nie wzięły... i głowy sobie po śmierci ojca nie rozbiłam, choć ją o ściany tłukłam... Taka to już gruba natura moja...

— Dłaczegóż ty mówisz, że masz grubą naturę? — zaczęła trochę z nieśmiałością Rozalia.

Uczyniła ręką gest niechętny.

— Bo i gruba! — rzekła — ojcowska... Od dzieciństwa lubiłam zawsze cokolwiek robić... byle co... byle nie siedzieć z założonymi rękoma; do muzyki zdolności nie miałam, popędliwa byłam, śmiałam się tak jak ojciec, głośno i z całego serca...

— Ty śmiałaś się! ty, Bryniu! — z najwyższym zdumieniem wykrzyknęła Rozalia.

— Dopóki ojciec żył — odpowiedziała krótko i posępnie.

— Aha! — westchnęła towarzyszka jęj, — co to jednakże takiego, że jak tylko ci ojcowie poumierają, to i matkom i córkom robi się tak ciężko na świecie... tak ciężko... tak źle...

Brygida ze zdziwieniem twarz ku nięj zwróciła.

— No, no! — rzekła — alboż tobie źle? Przepadasz za matką swoją, zamiłowałaś robótki, jak mówi pani prezydentowa, i taka zawsze jesteś wesoła...

Rozalia z razu nie odpowiedziała nic, potem przysunęła się bliżej do towarzyszki, wzięła rękę jęj, która bez oporu ale sztywnie spoczęła w drobnej jęj dłoni, i zaledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Bryniu! wiesz co? wychodzi ty za mąż, za tego... wiesz... co kocha się w tobie!

Brygida wyrwała rękę i z gniewem zawołała:

— A toż co? zkądże to ty, naprzykład, wiesz, że ktokolwiek kocha się we mnie?

— Zkąd... ot zkąd... siedzę zawsze przy oknie i robótkę robię... czasem zerknę na dziedziniec, to i widzę... Przez całą wiosnę widzę, jak ten... no wiesz kto... patrzy na

ciebie i pomaga ci wodę nosić ze studni, a kiedy do ciebie mówi, to zdaje się, że cały drży...

Brygidę przebiegło także lekkie drżenie.

— Widziałaś? doprawdy? a może ci się tylko tak zdawało? — szorstko, lecz cicho wymówiła.

— Jak mamę kocham, nie zdawało mi się! — zawołała Rozalia. — Wiész co? że choć ja na takich ludzi nigdy nie patrzę...

— *Na takich!* — sarknęła Brygida. — Jacy wy wszyscy jesteście głupi z tymi *takimi i owakimi* ludźmi! Biedne, jak myszy w pustej stodole, a ludzi zawsze na *takich i owakich* dzielicie! Głupstwo na głupstwie jedzie i głupstwo powozi! Z wami wszystkimi, ile was jest, nie warto nawet rozmawiać... dlatego też i milczę zawsze, jak zakłeta, a jeżeli czasem usta otworzę, to zaraz żałuję tego... tak jak i teraz...

Chciała wstać i odejść, ale Rozalia przytrzymała ją za suknię i ramię.

— Ot, już i wpadłaś w gniew i kłótni szukasz, ale ja nie chcę kłócić się z tobą... Poczekaj... pogawędzimy jeszcze trochę... od serca... Ja ci dobrze życzę... mnie ciebie szkoda, bo choć jestem zawsze taka wesoła, ale mi często niewesoło... Nie chcę mamy martwić i nie okazuję tego, co czuję...

— A cóż ty naprzykład czujesz? — rozbrojona słowami jęj, zapytała Brygida.

— Albo ja wiem! — wahającym się głosem odpowiedziała Rozalia.

Brygida zaśmiała się ironicznie.

— Otóż to; — rzekła — wy wszystkie nie wiecie, co czujecie... Czujecie coś... czujecie... wzdychacie... smutno wam... a same nie wiecie, co i dlaczego. Od najmniejszego dzieciństwa pamiętam te jakieś tęsknoty za czémś... za czémś... te jakieś żale po czémś... po czémś... Za czém? po czém? pfu! zgiń maro, przepadnij! Trzebaż przynajmniej wiedzieć... Albo te skrzydła złamane i bratnie dusze, to śpiewanie i wzdychanie przy fortepianie, u! jak mi to wszystko obrzydło... Ale ty, to co innego... ty pewnie masz rację smucić się, a głupio to tylko bardzo, że nie wiész sama, czego się smuczysz...

Umilkła na chwilę, a potem nagłym ruchem obie ręce towarzyszki swęj pochwyciła.

— Słuchaj-no — zaczęła — słuchaj-no! Nie wesoło ci często... smutno... żal, a sama nie wiész dlaczego. Ja ci to wytłómaczę... ja! Nie wesoło ci, bo oprócz starej matki, która dziś — jutro do grobu pójdzie, nie masz nikogo swego... swego... ktoby ci przyjacielem był, i opiekunem, i sercem przywiązanem, na którym mogła-byś głowę bezpiecznie położyć... Smutno ci, bo widzisz, jak inne kobiety kołyszą i pieszczą swoje dzieci, żyją w swoich domach i garną do tych domów, co mogą, i stroją je, w co mogą, i jak ptaki ścielą gniazda dla siebie i swoich na szczęśliwe jutro, na wygodną starość, na spokojną śmierć... żal ci, bo... bo masz w sercu coś, czego nikomu nie dałaś, bo przychodzą ci do głowy takie wyrazy, których nikomu nie powiedziałaś, bo chciała-byś objąć kogoś mocno i wiedzieć, że jemu z tobą dobrze, miło, szczęśliwie... bo... choć zamilowałaś robótki i oczy nad nimi wysłepiasz, myślisz sobie czasem, że to są głupstwa, że... zmarnowałaś się!

Mówiąc to, przybliżyła coraz do twarzy towarzyszki twarz swą gorącą, wzburzoną, z pałającymi oczyma. Mowa jęj była śpieszna, oddech szybki.

— Cóż? — zapytała po chwili milczenia — cóż? czy nieprawda? czy nie dobrze wytłómaczyłam ci, co i dlaczego czujesz?

Rozalia siedziała z twarzą ukrytą w obu dłoniach. Brygida zaśmiała się, zwykłym sobie, krótkim, wewnętrznym śmiechem.

— Aha — rzekła — widzisz, jak zgadłam.

Po chwili Rozalia, otarłszy chusteczką twarz zwilżoną łzami, wzięła znowu rękę towarzyszki.

— Może i zgadłaś — szepnęła — zdaje się, że doprawdy zgadłaś... Takie już widać nasze serce, że potrzebujemy w kimś kochać się... Ja kochałam się dwa razy w życiu: raz za dobrych jeszcze czasów, i to dawna bardzo historia; drugi raz, niedawno... powiem ci nawet pod sekretem w kim, ale nikomu nie powiesz? Ot, w Stasiu Żyrewiczu... ach, jak ja się w nim kochałam parę lat temu... potem wyperswadowałam sobie, ale żal został...

— Znowu głupstwo! — szepnęła Brygida.

Rozalia nie dosłyszała szeptu tego i mówiła dalej:

— Ale o mnie niema co i mówić. Moje wszystko już przeszło i zresztą ja, jeżeli nie wyszłam za mąż, to dlatego, że nic stosownego nie zdarzyło się, a niestosownie wyjść było-by dla mnie z ubliżeniem... Mama wpoila we mnie zasady odpowiednie urodzeniu memu, i żebym nawet dziś o lat dwadzieścia odmłodziła, nie rozminęła-by się z niemi za nic w świecie... żeby tam nie wiem co... Ty, co innego; twój ojciec był urzędnikiem, twoja matka jest córką urzędnika, dla ciebie, dajmy na to, że niezupełnie stosownie, ale zawsze z mniejszym ubliżeniem wyjść za takiego...

Urwała i, bliżej jeszcze przysuwając się, szepnęła:

— Wiesz co? że on nawet przystojny...

— On musi być... bardzo dobry — w zamyśleniu wymówiła Brygida.

— Czy już oświadczył się tobie? powiedz-no, powiedz, koteczko!

Aż drżała z ciekawości.

— Oświadczył się.

— Kiedy? kiedy?

— Dziś w południe... spotkaliśmy się w mieście, kiedy bieliznę do magła niosłam.

— Jakże to było? złociutka moja! jakże to było? co on ci mówił? co ty jemu...

— Już ja tobie pewnie opowiadać tego nie będę — porywczco odfuknęła Brygida; po chwili milczenia dodała:

— Domek swój ma... w Młynowie...

— To o sześć mil ztąd... takie małe miasteczko... a długoż on tu będzie jeszcze?...

— Do jesieni, póki roboty około kamienicy nie skończą się. Przy domku jest kawał placu i spory ogród...

— Oho! — zadziwiła się Rozalia.

— Stara matka z nim mieszka... staruszka, jak on mówi, siwiuteńka jak gołąbka. Dwie krowy trzymają, konia, ptactwo rozmaite i trochę nawet różnego zboża sięją.

— No, to i dostatek sobie jest.

— Jak na taki stan, to dostatek.

— Ogrody-byś sadziła i usiewała.

— O, jakbym sadziła i usiewała! Silna jestem i taką pracę najlepiej lubię... swoje zresztą! Co to jest drzewko jakieś zasadzić... rośnie to co roku wyżej... człowiek robi się starszym i drzewo coraz wyższe... własną ręką posadzone, niby własne dziecko! Albo zwierzęta swoje mieć... ja Wilczka tak lubię, choć on nie mój... Karmiła-by, doglądała-by i pieściła... wszystko było-by u mnie wypasione, zdrowe, szczęśliwe... A mieszkanie! żeby nie wiem jak ubogie, jakby mi nikt nieporządków nie robił, czyste było-by i śliczniutkie, jak raik. Fortepianów nie trzeba, ani kanapek, Bóg wie jakich, ani żadnych kwiatków, do kożuchów przypinanych. Ubogo, to ubogo, ale czysto i zieloności w domu powinno być dużo, aby zimową porą wesoło było...

Rozmarzyła się. Głos jój stał się pełnym uśmiechów.

— Czy on umie czytać? — nagle zapytała Rozalia.

— Umie; widziałam w kościele, jak na księżce do nabożeństwa modlił się.

— A pisać umie?

— Nie wiem.

— Aj, aj, aj! — jęknęła Rozalia — coby na to pani radczyni powiedziała.

Brygida sposepniała znowu...

— Otóż to! — rzekła krótko i z goryczą dodała; — gruszki na wierzbie!

Rozalia zerwała się.

— Aj! — zawołała — ja tu zagadałam się, a mama tam... pójdę, zobaczę, może już chce do domu wracać! O! jak pięknie walca grają!

Dźwięki rzewnego walca oddalonym echem dochodziły do ciemnego kąta dziedzińca.

— Zaczekaj, zaczekaj — przytrzymując towarzyszkę za suknię, zawołała Brygida; — chciałam ciebie zapytać się... ty umiesz sny tłómaczyć. Śniły mi się dziś paciorki, takie różnokolorowe... przesypywałam je, a potem nizałam na nitkę... co to znaczy?

— Paciorki — z zamyśleniem odrzekła Rozalia... — różnokolorowe paciorki... Żebyś perły śniła, same tylko białe perły, to była-by wesołość, tańce, czy coś takiego... ale paciorki różnokolorowe to lzy... jak amen w pacierzu, lzy... A mnie śniło się wczoraj, że cesałam się przed lustrem i miałam dużo siwych włosów... obudziwszy się, myślę sobie:

zmartwienie jakieś będzie... Ot i jak raz: Staś był dziś u was, a u nas nie był... tak mię to zabolalo, że ledwie przed mamą od łez wstrzymałam się... Ale co tam z mamą?... *adieu*... do widzenia...

Odbiegła szybko, a Brygida wymówiła do siebie:

— Łzy wyśniłam... o łzy! to ze wszystkiego na świecie najpewniejsze...

Mówiąc to, wstała i miała już wejść do mieszkania, gdy o parę kroków za nią ozwał się głos mężki:

— Dobry wieczór, panno Brygido!

W zmroku zarysowała się postać urodziwego mężczyzny, w mieszczańskim ubraniu, złożonym z grubego surduta i wysokich butów. Z twarzy widać było tylko długie i bujne wąsy.

— Dobry wieczór — odpowiedziała i na progu mieszkania, plecami o ścianę oparta, stanęła.

Przybyły zbliżył się jeszcze i stanął u samych wschodków.

— Niech panna Brygida nie gniewa się — zaczął — że o takiej późnej porze przyszedłem... Posłyszałem, że na dziedzińcu gwarno i pomyślałem, że może panią jeszcze spotkam.

Milczała.

— Strasznie mi smutno i niecierpliwie koło serca — mówił dalej — tak-bym chciał wiedzieć, czy panna Brygida nie gniewa się na mnie za to, com pani tam... dziś powiedział... Czy nie obraziłem czasem...

Milczała jeszcze chwilę, a potem dziwnie łagodnym i poważnym głosem odpowiedziała:

— Ja panu jestem bardzo wdzięczną...

Uczynił ruch pełen radości i razem zdziwienia.

— Za co tu wdzięczność! Ja na pannę Brygidę od dwóch miesięcy co dzień patrzę i najpierw zacząłem panią bardzo szanować i cenić... a potem takie mię kochanie wzięło...

Ona tym samym co wprzód głosem, wymówiła:

— Ja panu wdzięczną jestem... bo to pierwszy raz w moim życiu...

— To niechże się pani zdecyduje! poco zwlekać! — zawołał; — ja gotów do ołtarza choćby jutro...

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę jeszcze — odpowiedziała.

Milczał chwilę.

— No, rozumiem, rozumiem — rzekł; — matkę przygotować trzeba i uprosić, a do tego i samęj przyzwyczaić się do myśli, że pańska córka z takim, jak ja...

— Nie! nie! — zawołała gwałtownie.

On zrozumiał snadź, że krótkim wykrzyknikiem zaprzeczła temu, iż jęj oswajać się trzeba było z myślą o *takim*, jak on, człowieku. Wziął rękę jęj i zamknął ją w obu swych dłoniach.

— Rozumiem — rzekł — dziękuję. Nie będę nastawał, ani pytał się o nic. Będę czekał. Wszystko jedno... muszę jeszcze ze dwa miesiące w Ongrodzie przebyć, dopóki kamienicy nie skończą... podjąłem się i robotników aż do jesieni nająłem... Będę cierpliwie czekał.

Teraz ona szepnęła:

— Dziękuję.

Chciała odebrać mu rękę swoją, ale on jęj nie puścił i, z lekka głaszcząc ją dłonią, mówił z cicha:

— Dobra rączka! kochana rączka... silna i pracy niewstydząca się... żeby to ona mogła być moją... żeby ją mógł mojej siwej gołąbeczce w stare ręce włożyć i powiedzieć: „przywiozłem tobie, matko, synową!... masz, czego tak żądałaś... i wnuki będą...

Tym razem coś, jakby lkanie, ozwało się w piersi kobiety, nieruchomo wciąż pod ścianą domu stojącej, a ręka jęj, ta „dobra i pracy się nie wstydząca ręka”, objęła dłoń mężczyzny silnym i długim uściskiem.

— Dobranoc! do widzenia! — szepnęła szybko i znikła w ciemnych sionkach mieszkania.

Kiedy światło roznieconej przez nią lampki na twarz jój upadło, poznać można było, jak silnie i do głębi była wzruszoną. Wzruszenie to szczególny blask nadało jój piękności. Wielkie, czarne oczy jój gorzały z za łez, kruczne włosy opadały na wypogodzone, promieniejące czoło.

Była szanowaną i kochaną. Głowę podnosiła dumnym ruchem, a usta jój, purpurą zaszłe, rozwierały się w pełnym czułości i słodczy uśmiechu.

W dobrą godzinę potem pani Emma, wracając do domu, znalazła córkę swą, siedzącą przy lampce i pilnie zajętą naprawianiem jój bielizny. Zdyszana i nadzwyczaj ożywiona, zdjęła szal i mantylkę, i zaczęła prędkim krokiem przebiegać pokój. Przytém, z żywymi gośćmi i rozbłysłym wzrokiem, mówiła:

— Śliczny wieczorek! mówię ci, śliczny! Jacy to mili ludzie, ci Rolicy! jak umieją gości przyjmować! U nas nawet, za życia nieboszczyka ojca twego, lepiej już nie bywało. Oświetlenie w salonach bardzo dostateczne, lokaje ciągle coś roznoszą... to herbatę, to cukry, to owoce bardzo ładne... doskonale... ach! ja lubię owoce! doskonale owoce roznosili... Sama Rolicka, ubrana z wielkim gustem, w czarnej aksamitnej sukni pod szyję, a inne panie po większej części dekolowane i w kwiatkach... W jadalnej sali jeden kąt ubrany kwitnącymi roślinami, które prześlicznie pachną...

Nie podnosząc oczu znad roboty, Brygida ozwała się:

— Czy mama przez zamknięte okno zapach ten czuła?

Nie dosłyszała ironii w głosie córki, a nawet słów jój nie zrozumiała.

— Co? — zapytała z roztargnieniem, — co mówisz?

I, nie czekając odpowiedzi, znowu mówić zaczęła.

Opowiadała, że Staś Żyrewicz ślicznie tańczył, do tańca brał najczęściej marszałkówny Korzyckie, które były ubrane w różowych tarlatanach, a raz usiadł przy oknie, spostrzegł twarz jój za szybą i serdecznie mrugnął ku niej na powitanie. Zdaje się nawet, że powiedział z cicha: „dobry wieczór stryjencze!”, ale nie była zupełnie pewną, i bardzo, bardzo chciała-by wiedzieć, czy powiedział to naprawdę, czy też tak jój się tylko wydawało.

Nożyczki Brygidy z wielkim stukiem upadły na ziemię. Brzęk ich wyrwał panią Emmę z powodzi rozkosznych wspomnień. Stała pośrodku pokoju.

— A ty... ani na moment nie poszłaś popatrzeć? — zapytała.

— Nie, mam, ani na moment, — coraz zawzięciej szyjąc, krótko odpowiedziała.

— Dlaczego?

— Bo to, co się dzieje w domu pana Rolickiego, wcale nie zajmuje mię i nie bawi.

Na rozpromienioną twarz wdowy spłynął cień niezadowolenia.

— Otóż to! — z mniejszą niż zwykle łagodnością wyrzekła, — otóż to i bieda, że ciebie nic szlachetniejszego, nic... wyższego nie zajmuje!

— Poco mi ta wyższość! — siląc się widocznie na spokój, odpowiedziała Brygida; — ja ani z tymi ludźmi, którzy tam byli, ani tak, jak oni, nigdy żyć nie będę...

— Bo sama nie chcesz, a przynajmniej tak postępujesz, jak-byś gwałtem zamknąć sobie chciała wejście do lepszego świata! z żalem, zmieszonym z gniewem, wykrzyknęła Żyrewiczowa; — dobrze nawet, że się o tém zgadało, bo taką mam zawsze skłopotaną głowę, że zapomniała-bym ci może powiedzieć... Muszę powiedzieć ci to, co zresztą tysiąc już razy mówiłam, że takie trzewiki, jak ty nosisz, są okropne, obrzydliwe, nieprzyzwoite, i że w nich wyglądasz prawdziwie na prostą dziewczkę.

Brygida milczała. Spojrzenie jój tylko mimowoli jakby posunęło się ku małej nóżce matki, która, w niezbyt wykwintny, ale cienki, zgrabny bucik obuta, wysuwała się z pod falbanek, okalający brzeg jój sukni. Pomyślała może, iż gdyby ona nie nosiła grubych, prostych, ciężkich trzewików, matka jój nie posiadała-by może lekkich i zgrabnych. Nie powiedziała jednak tego. Żyrewiczowa z coraz żywszymi gośćmi mówiła dalej:

— Alboż te krzyki i klótnie z Panną Rozalią... czy to piękne? jest to przecież obywatelska córka, i przeciwnie, powinna-byś przyjaźnić się z nią, toby cię może z jakimkolwiek porządnym domem poznała... w lepszy świat-by cię wprowadziła... one choć zbiedniały, ale trochę jeszcze dawnych stosunków mają. I w ogóle zresztą, głos tak podnosić, jest rzeczą bardzo nieprzyzwoitą, szczególnie dla kobiety... martwisz mię tylko i nic więcej!

Brygida milczała.

— Nigdy nie miałam pociechy z ciebie... — mówiła dalej Żyrewiczowa, — byłaś zawsze upartą, zimną, skrytą, nie lubiłaś tego, co mnie było najmiłsze... nie dzieliłaś ani moich tęsknot i żalów, ani moich marzeń i przyjemności... Nieszczęśliwą jestem, że w córce rodzonej bratniej duszy nie spotkałam!

Brygida milczała. Matka jej, wzburzona bardzo, przeszła się parę razy po pokoju i, jakby postanowiła wypowiedzieć dnia tego wszystko, co jej leżało na sercu, zaczęła znowu:

— Masz naturę ojca. Ojciec twój był także...

Tym razem robota zsunęła się z kolan Brygidy, a ona sama podniosła twarz, oblaną gorącym rumieńcem, z oczyma, które sypały iskry.

— Mamo, — zawołała, splatając ręce, — nic o ojcu! proszę cię, mamolo! o mnie wszystko, co chcesz; ale o ojcu... nic złego!

Żyrewiczowa zmieszała się bardzo.

— Zkąd-że wiiesz, że ja cokolwiek złego o ojcu twoim powiedzieć chciałam? Kiedyż to ja o nim źle mówię? Ojciec twój dobry był... najlepszy w świecie... i choć usposobienia nasze nie zgadzały się z sobą zupełnie, kochał mnie i uwielbiał. Ja mu też byłam wierną i przywiązaną żoną; a jak przywiązaną, widziałas to przecież sama...

— Tak, — z wolna wymówiła Brygida, — mama bardzo po ojcu płakała...

— A widzisz! o, jak płakałam! i teraz jeszcze, przy każdym wspomnieniu o nim, płaczę...

Istotnie, w oczach jej kręciły się łzy. Usiadła na kanapce i zaczęła rozczesywać swoje ufryzowane nioby.

— Ojciec twój, — mówiła, — był popędliwy, gniewał się często, a gdy rozgniewał się, mógł i grubiaństwo nawet powiedzieć... Ale mnie nigdy to nie spotkało. Rozzbijałam go łagodnością charakteru mego. Krzyczy, bywało, fuka, pięścią w stół bije, a potem popatrzy na mnie i zaczyna przeproszać, w ręce i w kolana mię całować. „U ciebie, — mówi, — oczy, jak u gołąbka... Kiedy widzę, że taka zalekńniona stoisz i milczysz, taka mię litość jakaś ogarnia, że i gniew przechodzi!” I wszystkim zawsze mówił: „Takięj mnie żony trzeba było, jak mój zefirek! Z inną, która-by mnie rozdrażniała, mógł-bym co niedobrego popełnić.” W ostatnich szczególniejszych latach żyliśmy z sobą w wielkiej zgodzie... on przyzwyczał się do moich gustów, ja wiedziałam już, jak postępować, aby go do gniewu nie przyprowadzać... to też, gdy umierał, ostatnie spojrzenie i słowo jego było dla mnie...

— To prawda! — szepnęła Brygida.

Żyrewiczowa otarła łzy z oczu, i przednie pasma z lekka siwiejących swych włosów, zaczęła na szpilki podwójne zakręcać.

— Moja mamolo, — szyjąc wciąż, ozwała się po chwili Brygida, — mam do mamy jedną prośbę.

— Cóż to takiego, czego chcesz?

— Niech mi mama powie, czy... pan Stanisław akuratnie wypłaca procent od pieniędzy, u mamy pożyczonych?

— Cóż-to znowu za pytanie? z kąd-że ci to przyszło do głowy? O niczym nigdy nie myślisz, tylko o takich poziomych...

— Chciałam dziś pójść na rynek, żeby trochę zapasów w dzień targowy kupić, i... w szufladzie znalazłam już tylko dwa złote.

Żyrewiczowa zarumieniła się.

— I ztąd wniosłaś zapewne, że Staś jest nieakuratnym i nieuczciwym. O, ty skłonna jesteś do podejrzeń! Wszyscy dla ciebie są czarni, a szczególniejszy przyjaciele twojej matki. Otóż widzisz, jak omyliłaś się... Był dzisiaj i wypłacił, co do grosza wypłacił...

Poskoczywszy do komody, wyjęła z niej i pokazała córce kilka wartościowych papierków. Nie przedstawiały one przecież wcale procentu wypłaconego, ale cząstkę kapitału, którą wdowa, z uczynionej Stanisławowi ogólnej pożyczki, dla siebie zachowała. Brygida podniosła głowę i popatrzała na ukazywane jej pieniądze. Była widocznie zadowolona.

— To dobrze, — rzekła, — kapitał mamy jest więc bezpiecznie ulokowany.

— Dlaczegoż mówisz, że to mój kapitał. Słyszałaś przecie, jak ojciec, umierając, powiedział: „Dla ciebie Zefirku i dla Bryni.”

— O, nie! o, nie! — zawołała Brygida, — to jest majątek mamy... mamy jednej. Chciałam tylko wiedzieć, czy on pewnie ulokowany!

Żyrewiczowa nie odgadywała wcale znaczenia i celu zapytań córki, ale rozzbrojona słowami jej, mówić zaczęła:

— Ależ pewnie, najpewniej! najbezpieczniej! Cóż ty sobie myślisz o Stasiu? on przecież ma majątek, Żyrewicze... rodzinny majątek rodziny Żyrewiczów... obywatelem jest, a teraz to najlepiej lokować kapitały na majątkach obywatelskich... Zresztą, on taki dobry, szlachetny... duszę ma najwznioślejszą w świecie, a ze mną łączy go przyjaźń, oparta na braterstwie usposobień, na... na... czémś takim... takim... Ty masz jakieś uprzedzenie do Stasia, i ja ci to mam bardzo za złe. Jedyne to krewny ojca twego, który nas odwiedza... a żebyś widziała, jak ślicznie dziś na tym wieczorze u Rolickich wyglądał... duszka chłopiec!

Brygida wstała i złożyła robotę.

— Idźmy spać, mammo! już późno!

Z rozmarzonym uśmiechem na ustach Żyrewiczowa uklęknęła i zaczęła odmawiać wieczorne pacierze. Po chwili słychać było, jak mówiła żarliwie i pół-głosem: „Wieczne odroczenie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista...”

Modliła się za duszę męża.

W tej samej porze stara Łopotnicka, po stoczonych walkach i poniesionych trudach, udawała się też na spoczynek. W białym kaftanie i haftowanym czepeczku nocnym, na-pół okryta włóczkową kołdrą, misternym dziełem swjej córki, siedziała na łóżku, prosta jak struna, a twarz jej i ręce, obok śnieżnej białości kaftana i czepeczka, wyglądały tak, jak gdyby były ulane z wosku. Rozalii, która przy świetle lampki rozbierała się na niskiej i twardej sofce, opowiadała ona różne rzeczy o mieszkańcach wsi, którzy wieczoru tego bawili się u Rolickich. Mówiła o starych i o młodych, o kobietach i mężczyznach. Z jednymi była kiedyś sprzyjaźnioną, innych znała dziećmi; o wszystkich wiedziała, z jakich rodzin pochodzą, jak nazywały się, lub nazywają majątki ich, matki i babki. Była to, słowem, długa litania nazwisk, przeplatana obrazami zmian i kolei, przebywanych przez liczne szlacheckie rodziny, w okolicach Ongrodu zamieszkałe. Rozalia długiej tej mowy matki słuchała z nadzwyczajnym zajęciem, z takim nawet skupieniem ducha, z jakim ludzie, głęboko wierzący, słuchają o budzących w nich cześć głęboką przedmiotach wiary. Gdy jednak stara umilkła na chwilę, córka jej ozwała się nieśmiałym i wahającym się głosem:

— Dziwna rzecz! dlaczego wszyscy ci państwo nigdy teraz mamy nie odwiedzają i tak, jakby zupełnie o nas zapomnieli.

Łopotnicka uroczystym gestem podniosła w górę długi, żółty swój palec.

— Nie sądz i nie skarż się! — wymówiła. — Niech cię Bóg broni, abyś kiedykolwiek źle o nich mówić, albo skarżyć się na nich miała! Nie uznała-bym cię za córkę moję; choć-bym już nie żyła, duch mój odmówił-by ci błogosławieństwa swego. Ja nie skarżę się... Wielka rzecz! Zsunęliśmy się ze sceny tego świata, jak marne cienie, to... to... to... ludzie żyjący i zapomnieli o nas! Zresztą, biedni oni teraz! Motłoch ich opanował, dusi ich, gnębi, krew i mienie z nich wysysa. Gdzież to... to... to... im biedaczkom w zgryzotach takich i troskach myśleć jeszcze o dwóch kobietach, które-by już teraz nie miały jak, ani przyjąć ich, ani ugościć, ani przyzwoitych stosunków z nimi utrzymać.

Umilkła na chwilę, żółta twarz jej na-pół boleśnie, na-pół uroczyście trzęsła się nad ubraną w biały kaftan drewnianą postacią. Po chwili wzniosła znowu w górę wskazujący palec i rzekła:

— Róziu, to bracia nasi! myśmy wygnanki z ich koła, ale cały szacunek nasz i całe nasze przywiązanie... to... to... to...

Nie dokończyła. Zwiędłe wargi jej drgnęły i drgały długo, niby wątle liście, wstrząsane powiewem uczucia, żyjącego w tej starzej, suchej piersi.

I gdy, naksztalt chyłących się posągów, skłoniła się na poduszki i głowę swą na nich złożyła, kilka razy jeszcze w ciemnym pokoju zaszemrały przeciągłe jej westchnienia.

— Och, och, och! och, och, och!...

Parę miesięcy minęło. W przedpołudniowej porze dnia jesiennego, Rozalia, z żywszemi jeszcze niż zwykle rumieńcami na okrągłych policzkach, uśmiechnięta cała i zdyszana, wpadła do mieszkania Żyrewiczowej.

— Pani! pani drogiusieńka! — zawołała, — pan Stanisław przyszedł do nas... Mama mi kazała...

Urwała nagle, spostrzegłszy Brygidę, która, stojąc przy kominie, gdzie palił się ogień, siekała kawałek mięsa na kotlet na stolnicy, przyniesionej z sionek.

— Mama kazała kochaną panią poprosić, żeby pani była łaskawa przyjść do nas!... — dokończyła Rozalia, i znacząco okiem na Brygidę wskazała.

Żyrewiczowa znaczenia mimiki tej nie zrozumiała, posłyszała to tylko, że Staś znajdował się w jej sąsiedztwie; zerwała się z kanapki i wypuściła z rąk batystowy kołnierzyk, który przed kilku miesiącami haftować zaczęła.

— Idę! idę! — zawołała, i cała w uśmiechach poskoczyła do małego lusterka, przed którym nastrzępiła nioby, a wstążki u sukni przyglądała. Wybiegły obie. O kilka kroków od progu, Rozalia zatrzymała towarzyszkę i tajemniczo szeptać zaczęła.

— Nie chciałam mówić przy Bryni, bo ona i tak nie lubi Stasia, nie wiem za co, i gotowa-by po swojemu niegrzeczność mu jaką powiedzieć, a on-by obraził się i długo potem do nas nie przychodził... Mama niespokojna o te procenta, ale sama dopominać się nie chce; mówiła, że dla pani najstosowniej upomnieć się, i żebym po panią poszła. Trzeba koniecznie pomówić o tych procentach, bo mama niespokojna i, prawdę mówiąc, trochę ciężko. Niech pani tak sobie z daleka zacznie.

— Ale jak to ja mam zaczynać? dlaczego to ja mam zaczynać! — z przerażeniem wołała Żyrewiczowa, — mama starsza...

— Ale mamie to przykro... Pani, to co innego... Jeżeli pani nie zechcesz zrobić nam tej łaski, to już ja sama muszę zacząć, bo mi mamy żal... ale jak ja to zrobię!... chyba pod ziemię zapadnę się ze wstydu. Jak tu z nim mówić o pieniądzech... upominać się... taki dobry! pudełko cukierków mi przyniósł...

Objęła Żyrewiczowa i, osypując ją pieszczotliwymi nazwami, błagała, aby ona zaczęła i upominała się. Żyrewiczowa broniła się.

— Ale cóż ja powiem? jakże ja go mogę martwić? on taki czuły, wrażliwy, a przytém mnie i jego łączy przyjaźń dawna, oparta na czémś... na czémś takim...

Rozalia nie przestawała prosić:

— Pani droga! złota!... i ja także czuję dla niego coś... coś takiego...

Weszły do mieszkania Łopotnickiej. Staruszka, we francuzkim swym szalu, wygarnirowanym czepeczku i okularach w złotój oprawie, siedziała w staroświeckim fotelu, wyprostowana i sztywna, jak zwykle, ale z wyrazem twarzy, do niepoznania zmienionym. W żółtych jej palcach połyskiwały druty pończoszki, którą z wolna i zupełnie machinalnie robiła. Z łaskawym, aż prawie błogim, uśmiechem na ustach, słuchała opowiadania Stasia, co, siedząc na niskim stołeczku tym, na którym zwykle siadywała Rozalia, mówił o jakimś weselu, mającém się odbyć w okolicy jego, o wyprawie panny młodej i ekwipowaniu się pana młodego. Na widok wchodzących kobiet, zerwał się z siedzenia i, ucałowawszy rękę pani Emmy, ze zgrabnym ukłonem i miłym, uśmiechem podał jej pudełko cukierków.

— Miałem zamiar odwiedzić stryjenkę, — zaczął, — ale ponieważ tu się widzimy...

— Karetę więc kupił, — z zajęciem żywém zapytała go stara — i sześć koni? A jakiej maści? Ona to pewnie piękne brylanty mieć będzie, bo matka jej, Kryniewiczówna z domu, mnóstwo kosztowności miała... powiadają, że je ojciec jej, adwokatem będąc, nie bardzo czystym sposobem po księżętach X dostał. A ładnaż ona? Widziałam ją, kiedy była pięcioletnią dziewczynką... obiecywała...

Stanisław uprzejmie i obszerne wszelkich żądanych informacji dostarczał, staruszka ożywała się coraz więcej, i czułém prawie okiem spoglądała na młodzieńca, który przynosił jej z sobą echa i odbłaski ukochanego przez nią świata. Żyrewiczowa i Rozalia nie mieszały się do rozmowy, gryzły cukierki i, co chwila rzucając okiem na Stanisława, z dziecinnym prawie chichotem dzieliły się z sobą nadzwyczaj zajmującemi, a nad osobą jego dokonywanemi, spostrzeżeniami. Bawiły się wybornie.

Chwilami jednak, po ogólnej wesołości tej przesuwał się niby cień. Stanisław nie był w rzeczy samej tak swobodnym, jakim okazać się usiłował; wśród śmiechu nawet, wzrok mu posępniał i ręka ruchem niecierpliwości podnosiła się ku płowemu wąsikowi. Nieprzewyciężone roztargnienie i ukłócia jakby tajonej troski przerywały mu wątek ożywionej rozmowy. Łopotnicka ze swój strony, gdy tylko na chwilę słuchać i mówić

przestawała, wydawała się czémś zaniepokojoną. Sposepniały wzrok spuszczała na półczoszkę i tak zacinała wargi, że znikaly całkiem pomiędzy ostrym, ptasim nosem, a suchą, w górę podnoszącą się i siwym puchem porastającą, brodą. Raz spojrziała na córkę, i z cicha, śpiesznie ku niej szepnęła:

— Róziu! czy mówiłaś pani radczyni?...

Chichoczące i cukierki smokzące kobiety jakby obumarły na chwilę. Rozalia, z osłupiałymi oczyma, lekko trąciła łokciem Żyrewiczową.

— Paniusiu! — szepnęła, — najdroższa! proszę zacząć...

Do twarzy pani Emmy uderzyły gorące rumieńce.

— Ależ, moja panno Rozalio! — odszepnęła, — ja doprawdy nie mogę... taka su-biekcya.

I ze spuszczonego oczyma, nerwowym ruchem zaczęła owijać około palców długi koniec opasującej ją wstążki.

Stanisław rzucił ku dwóm szepczącym i szamocącym się kobietom szybkie spojrzenie i, z zaniepokojenymi oczyma, szybko zawołał:

— Ale, co to panna Rozalia robi? znowu coś nowego? śliczna robótka jakaś!

Z twarzy Rozalii trysnęło uradowanie.

— Profitki paciorkowe! — zawołała, i tryumfalnie podniosła w górę błyszczący i długimi wisiorami pobrzękujący przedmiot. — Przyszły mi raz do głowy profitki, kiedy w nocy spać nie mogłam... długo potem łamałam sobie głowę nad tém, jakby tu je zrobić... i zrobiłam! Wezmę za parę rubla... najmniej!

Stanisław zbliżył się i wziął w rękę owoc ów nocy bezsennej i długiego łamania głowy Rozalii, którym ona zdawała się być niepomiernie dumną i uszczęśliwioną.

— Bardzo ładne! — podziwiał, — gustowne... szykowne!

— Bardzo ładne! — wtórowała mu Żyrewiczowa, — te zielone paciorki szczególnie, zupełnie jak szmaragdy...

Rozalia promieniała, ale zmieszało ją znowu ostrzejsze już i bardziej nagłace, niż przedtém, spojrzenie matki.

— Czy pani prezydentowa przypomina sobie Rudziszki, tę wieś, co to nad samym Niemnem, o trzy mile od Ongrodu... — zagadnął staruszkę gość.

— A jakże! dlaczegoż-bym pamiętać jej nie miała. Za czasów moich, Rudziszki należały do Drewnickiego, z tych Drewnickich, co to w Pińszczyźnie...

— Niechże pani prezydentowa zgodnie, kto teraz Rudziszki kupił!

— A któż taki?

— Jakiś Bucikiewicz, ex-ekonom hrabiów Pompalińskich.

Plasnęła rękoma.

— Ex-ekonom! lichy wie co! — zawołała. — A Drewnicy pewnie bez chleba i dachu zostali! co się to dzieje, co się to dzieje na tym świecie! jak ten motloch w górę wylazi, a nas to... to... to... coraz niżej... coraz niżej spycha!

Teraz Żyrewiczowa trąciła lekko łokciem Rozalią.

— Widzi panna Rozalia, jak mama posmutniała i tak spojrziała na panią, jak gdyby gniewała się... niechże pani zaczyna. Moja pani złociutka! moja najdroższa! proszę zacząć... mnie aż słabo!

— A mnie tak gorąco, jak żeby kto ukropu...

— O! mama znów spojrziała na nas i czoło zmarszczyła! już ja wiem, że kiedy mama na mnie czoło zmarszczy, to już coś wielkiego... Paniusieńko, proszę mnie ratować...

— Nie mogę, panno Rozalio... żeby tam nie wiem co... przyjaźń nasza oparta na czémś takim... on taką ma wzniosłą duszę...

Łopotnicka raz jeszcze ostro spojrziała na córkę i Żyrewiczową, i z roztargnieniem odpowiadała na pytanie jakieś, przez Stanisława jej zadane.

— Śliczna, śliczna osoba, dystygowana i bardzo dobrze urodzona! Odropolska z domu, a rodzi ją Wiewiórkiewiczówna, z tych Wiewiórkiewiczów, co to jeden żonaty był z hrabianką Pompalińską, a drugi...

— Panie Stanisławie! — wpadł jej w mowę bardziej jeszcze niż zwykle wiolinowy głosik Rozalii.

— Co pani rozkaże? — z galanterią zwracając się do niej, zapytał Staś.

O, jakże niepodobną była do osoby, mającej komukolwiek cokolwiek rozkazywać! Wyglądała w sposób litość budzący. Czarne jęj, wesołe zwykle oczki, pod wpływem śmiertelnego przymusu, jaki samej sobie zadawała, na wierzch prawie wychodziły, czoło jęj zaśzło krwistym rumieńcem, który posuwał się aż pod gładziutki, wypomadowane pasma włosów i szkarłatną barwę nadał małym uszkom; chustką do nosa zasłoniła całą dolną część twarzy. Z za tej chustki głosik jęj wydobywał się zdławiony i za każdą sylabą konający.

— Panie Stanisławie, mamie przy... kro i mnie tak... że... ale co zrobić... dro... żyz... na taka... mamie na zimę... ciepłych bucików trzeba... żeby pan wiedział... jak to przykro... ale... cóż zrobić... ja sama nie wiem... ale może-by pan mógł te... te... pro... pro... pro...

Wyrazem *procenta* udławiła się formalnie i nic już więcej, prócz kilku chrząknięć, pomieszanych ze stękaniami, wydobyć z siebie nie potrafiła. Żyrewiczowa ze swęj strony rumieniła się, to bladła naprzemian; pani prezydentowa zaś, która wprawianiem kija swego w młynkowe wirowanie tak dzielnie z motłochem wojować umiała, wobec przykrości, sprawianęj obywatelskiemu synowi, nie zmieszała się wprawdzie ani strwożyła, ale posmutniała bardzo i, z oczyma wlepionymi w pończoszkę, przeciągle westchnęła: — Och, och, och!

Stanisław powstał z powagą i naprzód panią prezydentowię, potem panią Emmę, a nakoniec pannę Rozalią w rękę pocałował. Uczynił to w głębokiem, uroczystém milczeniu i, dopiero usiadłszy, mówić zaczął:

— Winien jestem! *mea culpa!* ale niech szanowna pani prezydentowa i droga stryjenczka i kochana panna Rozalia nie posądżają mnie o nic złego.

Tu dwa przerażone wykrzyki niewieście:

— My! posądzać pana! ach, panie Stanisławie! jak można...

— I pozwolą mi szeroko i długo usprawiedliwić się z tej pozornęj winy...

Teraz powagi pełen lecz rozrzewnieniem przebrzmiewający głos pani prezydentowęj:

— Winy... to, to, to, to, niema żadnęj... pewno niema... z takięj familii dziecko, jak kochany pan Stanisław...

— Z tej pozornęj winy, którą okoliczności sprowadziły i okoliczności naprawię. Jakie zaś to okoliczności, jeżeli szanowna pani prezydentowa, droga stryjenczka i kochana panna Rozalia pozwolą, opowiem o nich szczerze, jasno i szczerogółowo.

Ale naturalnie! nietylko pozwalały, lecz bardzo prosiły o to. Żyrewiczowa mówiła, że chociaż oddawna skrzydła ma złamane, umie jednak czuć i podzielać... Rozalia, splatając małe rączki, upewniała, że dla pana Stanisława ma przyjaźń taką... taką... pani prezydentowa zaś uroczyście wyrzekła:

— Powinieneś nawet być szczerym z nami... wszak jesteśmy *en familie*, bo pani radczyni, chociaż nie sama przez się, ale przez swego męża, do naszęj familii należy. Wszystko, co ciebie dotyczy, obchodzi i nas serdecznie... wszak jesteś jedynym węzłem, który mnie i Rózię łączy jeszcze z naszym światem.

W sposób ten zachęcony i ośmielony, Stanisław opowiadać zaczął.

Mówił długo o majątku swym Żyrewiczach, o dobrych i złych jego stronach; wykazywał przecięciowe cyfry rocznych intrat, długów, majątek obarczające; wielkie zyski, mogące być otrzymaniami z wycięcia lasu i rozparcelowania awulsów; trudności, jakie spotyka w wykonaniu tych świetnych planów. Mówił jeszcze o wielu, wielu innych szczegółach przedmiotu, płatał się czasem i jękał trochę, czasem widać było po nim, że przebywał dość ciężką chwilę życia; a gdy mówić skończył, ogólny wynik długięj mowy jego okazał się taki: że los jego, cała jego przyszłość spoczywa w ręku pani prezydentowęj. Jeżeli pani prezydentowa pożycz mu te 2, 500 rubli, które ma jeszcze u siebie w bankowych biletach, zostanie uratowanym; spłaci ten dług, który przeszkadza mu do sprzedania lasu i rozparcelowania awulsów i najdalej za dwa... trzy miesiące, i sumę, i procenta wszystkie zwróci. Jeżeli pani prezydentowa nie zechce tego uczynić, poprostu zginie i będzie musiał Żyrewicze sprzedać temu samemu Bucikowiczowi, ex-ekonomowi Pompalińskich, który nabył od Drewnickich Rudziszki.

Był to wynik rozmowy nadzwyczaj niespodziewany, tak, że wszystkim trzem kobietom, nie wyłączając pani prezydentowęj, oczy zrazu w słup stanęły i na minut parę głębokie w pokoju zapanowało milczenie. Po kilku minutach pani Emma pięrsza do Rozalii szepnęła:

— Jak mi teraz boleśnie, że już więcej kapitału nie mam!... Gdybym miała, dała-bym mu go zaraz... ja jemu święcie wierzę... biedny ten Stasiczek!...

— Tak, tak! ale... mamie na zimę ciepłych bucików i futerko odnowić trzeba! — wahając się, odszepnęła Rozalia.

Teraz Łopotnicka głos zabrała:

— Nie spodziewałam się — zaczęła — nie spodziewałam się... i tak raptem zdecydować się nie mogę. Nie odmawiam, ale i nie przyrzekam... i proszę pana Stanisława, żeby mi dał czas do namysłu... do jutra rana... Jutro rano... niech pan będzie łaskaw, odwiedzi nas znowu to, to, to...

Wargi jej zwarły się tak, że zniknęły prawie pomiędzy nosem a brodą; siwe oczy migotały niespokojnie.

Stanisław wstał znowu, wszystkie trzy panie z kolei w rękę pocałował i, usiadłszy, starał się nawiązać rozmowę, przerywaną odezwaniami się Rozalii. Nie szło to już jednak i, w kwadrans potem, nie było go już w mieszkaniu Łopotnickiej.

Cały ten dzień Łopotnicka przesiadywała w fotelu swoim, kamiennie nieruchoma i milcząca. Z głową opartą o poręcz fotelu, z otwartymi nieco od głębokiej zadumy usty, patrzyła w sufit i nerwowym ruchem palców mięła brzegi swego szalu. Wzdychała czasem i stękała, albo mruczała coś niewyraźnego; chwilami wyraz ciężkiej walki wybijał się na suche, ostre, delikatną żółtawą skórą obleczone jej rysy. Przez cały czas ten, Rozalia siedziała na niskim swym stołeczku, pod oknem i, widząc, że matka nie zwraca na nią uwagi żadnej, od chwili do chwili z cicha popłakiwała. Dnia tego Staś tak ładnie wyglądał i taki był chwilami smutny jakiś, i ona sama taką mu wyrządziła przykrość, że serce jej ścisnęło się boleśnie, różne tęskne wspomnienia i myśli przychodziły do głowy. Szczęśliwa Brygida, myślała, że w niej kocha się taki choćby człowiek, jak ten... o! kochać i być kochaną! Ciekawam też, z kim się Staś ożeni! Pewnie z jaką młodą i ładną panną. A gdzież moja młodość podziała się? i ja byłam niebrzydka... starało się o mnie kilku... a co mi z tego? ot... zmarniałam!...

Paciorkowa profitka wypadła z palców jej na ziemię, brzęk jej przerwał zadumę pani prezydentowej. Wyprostowała się, na twarz jej wrócił zwykły wyraz stanowczości.

— Róziu — ozwała się — wiesz, gdzie notaryusz... ten, Ickiewicz mieszka?

— Wiem, mamol! — raźnie już i wesołym głosem odpowiedziała.

— Ubierz-że się, jak wypada, idź do tego Ickiewicza i powiedz mu, aby tu jutro z księgą swoją przyszedł... Zapłacę mu za fatygę, a sama pewnie do niego nie pójde. Powiedz mu, że będzie oblig pisał dla mnie od pana Stanisława.

— To mama pożycz Stasiowi?...

Z trudnością jeszcze pewną stara odpowiedziała:

— Pożyczę.

A kiedy Rozalia, zbierając się do wyjścia, kładła na głowę czarny, skromny kapelusik, przywołała ją do siebie giestem głowy.

— Widzisz — zaczęła — nie mogę zrobić inaczej, nie powinnam. Jesteś dorosłą i masz prawo wiedzieć, dlaczego matka twoja postępuje tak, a nie inaczej; chcę zresztą, aby ci to było przykładem. Staś jest obywatelskim dzieckiem, krewnym moim, opuścić go w potrzebie było-by dla mnie i boleśnie, i z grzechem. Spokojniejszą była-bym, gdybym te pieniądze u siebie w szkatułce miała; myślę jednak, że taki honorowy człowiek i takiego pięknego świata, dwóch kobiet nie skrzywdzi z pewnością. A gdybym odmówiła mu i gdyby on przez to zginął sam i Żyrewicze komu z motłochu oddał...

— O, mamciu! niech mamcia pożycz! — wykrzyknęła Rozalia.

Łopotnicka z niezwykłą u niej czułością położyła dłoń na głowie córki.

— Jesteś prawdziwie moim dzieckiem — z lekkim rozrzewnieniem wyrzekła. — Czujesz i myślisz tak, jak ja. To dobrze. Pamiętaj, żeby tak było zawsze, i po mojej śmierci nawet. Pamiętaj, że powinniśmy zawsze podtrzymywać jedni drugich, pomagać sobie nawzajem i lepiej wiele przecierpieć niż... to... to... to... pomocy tej odmówić. Tak tylko postępując, obronimy się od motłochu, który nas ze wszystkich stron napastuje, i przyjdzie jeszcze do tego, że przekłete chłopy te, żydy, cygany, mieszczany i ekonomy, zrozumieją dobrze, że co my... to... to... to... nie oni!

Siwe oko jej błysnęło, wysokie czoło, pod pasami srebrnych włosów, zapłonęło bladym rumieńcem zapału, głowę podniosła dumnie i z uśmiechem na ustach patrzyła

w przestrzeń, niby w przyszłość tę, mającą przynieść zwycięstwo i tryumf tym, których kochała. Potem, rozrzuwiona, w obie dłonie ujęła twarz córki i, całując ją w czoło, rzekła:

— Idź! idź po notaryusza! Nie umarła-bym spokojnie, gdybym myślała, że mogłam dopomóc w czémkolwiek jednemu z nich, a nie uczyniłam tego!

Brygida nie została wtajemniczoną w żadne sprawy dnia tego i nie domyślała się ich w stopniu najmniejszym. Od rana znać było po niej, że niezwykle była wzruszoną i niespokojną; siekając kotlet dla matki uśmiechała się, to wzdychała naprzemian; przy obiedzie, przełknęła zaledwie parę kąsków pożywienia i, wnet po sprzątnięciu naczyń i uporządkowaniu mieszkania, zarzuciwszy, według zwyczaju swego chustkę na głowę, do miasta wybiegła. Udała się naprzód do sklepu, w którym sprzedawano woskowe świece, przeznaczone do oświetlania ołtarzy kościelnych. Kupiła dwie najmniejsze, bo parę tylko złotych wzięła z sobą z szuflady matczynej, następnie zaopatrzyła się w kilka łokci kolorowej wstążeczki i parę lichych, sztucznych kwiatów; tém wszystkiém bardzo starannie i z wielką powagą świece przystroiwszy, poniosła je do kościoła, w którym właśnie sobotnie nieszpory zacząć się miały. Weszła do zakrystyi i pobożną ofiarę swą zakrystyanowi podała.

— Przed ołtarz świętego Józefa Oblubieńca... — poprosiła.

Wąsaty zakrystyan spojrział na hebanowej czarności warkocze, które, oplatając jej głowę ukazywały się z pod chustki, na piękne, gorącym blaskiem płonące jej oczy i żartobliwie zapytał:

— Na jakąż to intencją panna świece te ofiarujesz?

— Ażeby Pan Bóg odmienił usposobienie pewnej osoby — odpowiedziała.

Przez całe nieszpory modliła się z kurczowo splecionymi dłońmi i wzrokiem, błagalnie utkwnionym w wymalowaną na obrazie twarz świętego Józefa Oblubieńca; a wychodząc z kościoła, babom żebraczkom, siedzącym w kruchcie, dała po parę groszy, prosząc, aby modliły się o szczęśliwą zmianę usposobienia pewnej osoby. Kiedy wracała do domu, na dziedzińcu dogoniła ją, wracająca téż od notaryusza, Rozalia.

— Zkąd idziesz, Bryniu?

— Z kościoła, z nieszporów...

Stały obie przy progu mieszkania Łopotnickiej.

— Cóż? — ciekawie pytała Rozalia; — nie rozmówiłaś się jeszcze z matką?

— Nie jeszcze; ale dziś pomówię z pewnością... postanowiłam i zresztą czasu już niema! On jutro wyjeżdża, skończył już robotę i spieszy się do drugiej. Na intencją szczęśliwego skutku mojej rozmowy z matką, zaniósłam świętemu Józefowi dwie świece...

— To dobrze! to dobrze! znam sama jedną panią, której rodzice nie pozwalali wyjść za lubego... odmówiła koronkę do świętego Józefa, który tak zmiękczył ich serca, że pozwolili. Ale wiész, Bryniu...

Zatrzymała się.

— Cóż? — zapytała Brygida.

— Ot tak! patrząc na ciebie, nie przypuściła-bym nigdy, żebyś tak bała się matki. Taka jesteś prędką i śmiała... i nie bardzo... jak tu powiedzieć?... nie bardzo kochacie się!

W zamyśleniu, z oczyma w ziemię wlepionymi, odpowiedziała:

— Zawsze to matka!... ojciec ją bardzo kochał i, umierając, powiedział do mnie: „bądź dobra dla matki!...”

— No, niech Bóg dopomoże... do widzenia!

Rozalia chciała odejść, ale Brygida zatrzymała ją za rękaw okrycia.

— Powiedz mi, co to znaczy... Śniło mi się dziś, że w podróż wyjeżdżałam i bardzo cieszyłam się z tego... on był ze mną i pomagał mi rzeczy pakować, a ja matki szukałam, żeby z nią pożegnać się i nigdzie jej znaleźć nie mogłam...

— Podróż — z zastanowieniem i namysłem zaczęła Rozalia — w podróż wybierać... się, znaczy, spełnienie zamiarów na dalsze czasy odłożyć... albo znowu, rzeczy pakować, to niby zabawa jakaś, liczne towarzystwo, przyjemne przepędzenie czasu.

Brygida ręką niecierpliwie skinęła.

— At! — sarknęła — zabawy, towarzystwa! poco mi to! Myślałam, że mi co lepszego wywróżysz...

— Z duszy i serca chciała-bym, ale cóż ja zrobię, kiedy tak w senniku pisze! Zresztą sen mara, Bóg wiara. Mama gniewa się zawsze za to, że troszeczkę w sny wierzę... Do widzenia!

Rozeszły się.

Brygida, zapaliwszy lampkę, wnet utkwiała w twarzy matki wzrok niespokojny i badawczy. Czułości we wzroku tym nie było żadnej; ale niepokój, który mącił w tej chwili śmiało te zawsze, ogniste oczy, zdawał się mówić: „zawsze to matka!”

Żyrewiczowa wzięła z komody starą talię kart i, usiadłszy na kanapce, zaczęła je do pasyansa wybierać i układać. Brygida wyjęła też z kosza sztukę bielizny, która cerowania i naprawiania potrzebowała, ale wnet spuściła ją na kolana i znowu wpatrzyła się w matkę. Wyraz twarzy pani Emmy nie miał w sobie nic groźnego. Łagodna, jak zwykle, wieczoru tego zdawała się jeszcze być zadowoloną czémś i trochę rozmarzoną. Z pudełka, stojącego na stole, wyjęła różowy cukierek i, podniosłszy go do ust, pudełko ku córce posunęła.

— Widzisz, Bryniu — żartobliwie wyrzekła — mnie jeszcze kawalerowie cukierki przynoszą. To od Stasia...

Nie wiadomo, czy Brygida słowa te słyszała, lub przynajmniej czy je zrozumiała. Z rumieńcem na twarzy wstała z krzesła i, trochę ręką opierając się o stół, stłumionym od wzruszenia głosem zaczęła:

— Moja mamó! chcę mamy prosić o zgodzenie się i błogosławieństwo. Mam starającego się, którego szczerze pokochałam i który mię kocha, i jeżeli mama pozwoli, natychmiast zawołam go i przyprowadzę tutaj...

Żyrewiczowa drgnęła i aż podskoczyła na kanapce. Z osłupiałemi oczyma, w córkę utkwionemi, wołać zaczęła:

— Ty, ty Bryniu, masz starającego! się! co? kto? kto? jakto? ależ u nas nikt nie bywał! ależ-by to była prawdziwa łaska Bozka, gdybyś ty, ty, partyą zrobić mogła! Któż to taki? mówże, mów prędzej!..

Brygida nie zaraz odpowiedziała. Mocowała się ze wzruszeniem swém dopóty, dopóki nie odzyskała całej siły i śmiałości. Po chwili, głosem przytłumionym i łagodnym, ale zupełnie już pewnym, rzekła:

— Moja mamó, nie jest to nikt taki, który-by u mamy bywać mógł, bo mama niektórych tylko ludzi życzy sobie znać i przyjmować... Poznaliśmy się z sobą, cztery miesiące temu, tu, na tym dziedzińcu... on pierwszy przemówił do mnie potem; rozmawialiśmy z sobą często i długo i pokochaliśmy się...

— Ależ któż to taki? powiedz-że na koniec, bo coś niedobrego przeczuwam...

— Jest to, moja mamó, Kazimierz Sośnina, majster mularski z Młynowa... ten sam, który tę kamienicę dla Rolickiego...

Nie dokończyła, bo pani Emma, zerwała się z kanapki i obiema rękoma pochwyciła ją za ramię.

— Bryniu! co tobie jest! — krzyżać zaczęła — zwariowałaś, moje dziecko! Bryniu! Bryniu! upamiętaj się! przyjdź do przytomności! dziecko moje! bo po doktora polecę!...

W wyrazie twarzy i krzyku Żyrewiczowej było tyle szczerego przestachu, tak nawet w przestachu tym zadźwięczało serce matki, bądź co bądź, przerażone myślą o nagłym zwaryowaniu jej dziecka; że po ustach Brygidy przesunął się uśmiech, choć niewesoły, o! wcale nie wesoły! Usuwając się o kroków parę, zaczęła znowu:

— Moja mamó! ja wcale nie zwaryowałam; i jakaż to waryacya?... człowiek to młody, przystojny... takie ma pocziwe, roztropne, wesołe oczy...

— A niech go dyabli wezmą, z jego przystojnością i z jego oczyma razem! — zapominając o wszelkiej wykwinności wyrażenia się, krzyknęła pani Emma i bezwładnie na kanapkę opadła.

Nie dowierając przecież jeszcze przytomności umysłu córki, wlepiła w nią wytrzeszczone oczy.

— Czy ty naprawdę to wszystko mówisz?... naprawdę... naprawdę?

— Naprawdę, mamó. I dlaczegoż ma to być nieprawdą? Myśmy stosowni dla siebie. On nie wysoko edukowany, to prawda... czytać, pisać, rachować umie, trzy klasy gimnazjalne skończył, a w rzemiośle swoim bardzo biegły... pierwszy z niego majster w powiecie. Wszak i ja nieuczona... po francusku co nauczyłam się, to zapomniałam, a co się tycze innych rzeczy, on więcej jeszcze umie ode mnie...

— Brygido! Brygido! Brygido!

Prócz tego, trzy razy powtórnego imienia córki, Żyrewiczowa nic więcej wymówić nie była zdolna. Brygida, coraz śmielsza i zarazem coraz już posępniejsza, zaczęła znowu:

— I nie biedny on... o! daleko bogatszy ode mnie... bo ja z kapitaliku, który ojciec zostawił, nic, nic, grosza złamanego brać nie chcę... niech będzie dla mamy. Wię o dobrze o tém, bom mu mówiła, że weźmie mię w jednej sukni i to dziurawej... on zaś ma majątek.

Na dźwięk ostatniego wyrazu pani Emma ocknęła się nieco z osłupienia.

— Majątek! — powtórzyła głucho — mularz ma majątek! chyba więc z obywatelskiej rodziny...

— Nie, mam! mieszczańinem jest i z mieszczańskiej rodziny... Z Młynowa, ale ma w Młynowie domek z dużym placem i ogrodem.

Tu rozległ się spazmatyczny śmiech pani Emmy.

— Majątek! Więc to majątek! chałupa jakaś w nędznej mieścinie... z placem i ogrodem... o Boże, mój Boże! co to się dzieje? co jój jest? czy ja czasem gorączki nie dostałam i tak mi się tylko wydaje? Brygido! Brygido! Brygido!

— Mamo! on w jeden miesiąc więcej zarabia, niż my całego procentu od sumki naszej mamy... nie pije, nie traci... nie gbur nawet, choć prosty człowiek! Z człowiekiem takim życie szczęśliwe i... przyszłość pewna!...

— A niech go, z jego zarabianiem i jego...

— Mamo! mam! nie przeklinaj go! on na to nie zasłużył! za cóż przeklinasz go, mam? czy za to, że on dla córki twojej ma szacunek i przywiązanie? czy za to, że chce z córką twoją, mam, podzielić się dobrem swoim, przez niego i przez jego ojca pocziwie zapracowanem? czy za to, że nie ma takich białych rąk, jak ten panicz, który tu...

Powstrzymała się nagle. Popędliwa z natury i rozdrażniona wielu żywiołami, składającymi się na jój istnienie, już, już wybuchnąć miała namiętym gniewem bez powstrzymania się. Umiała panować nad sobą; pragnęła przekonać i ubłagać matkę.

— Mamo, — zaczęła posępnym, lecz złagodnym głosem, — toż może jedyne los mój... jedyne szczęście, które mi się przytrafia! Mam lat 27... Chciała-bym żyć, jak inne kobiety... przyjaciela mieć dożgonnego, dzieci...

— Brygido! ty... panna, o takich rzeczach!...

— A jakież-to rzeczy, moja mam. Ojciec mówił zawsze: „chciał-bym, żebyś była kiedyś dobrą żoną, matką i rządzą gospodynią.“ Ja też niczego więcej nie chcę. Czém-że mogę być innem? Nic nie umiem i do niczego pretensyi mieć nie mogę. Pracować tylko mogę i chcę, i... kochać swoich... moja mam; czyż mama mi nie pozwoli spełnić woli ojca i być szczęśliwą? Com ja mamie winna? Grać się nie nauczyłam! to prawda, ale czyż to wina moja? Pan Bóg mi zdolności do tego nie dał. I temu-m także ja niewinna, że silna wyrosłam, nie powiewna...

W piersi jój drgnął zwykły, krótki, ironiczny śmiech, znowu wrzała wewnątrz goryczą i gniewem. I znowu przemogła się.

— Ale za to, — zdławionym trochę głosem mówić zaczęła, — ale za to, od śmierci ojca, przez ośm lat, przez całe ośm lat służyłam mamie, jak mogłam, czém mogłam. Oszczędzałam grosz każdy, aby mamie więcej na przyjemności i wygody zostało. Sługi nie miałyśmy... robiłam sama wszystko, choć mama tylko... tylko... zawsze gniewała się na mnie za to! Nie wymawiam... o, ja nie wymawiam! to był mój obowiązek. Ojciec umierając, powiedział mi: „bądź dobrą dla matki!“ o, ojciec! ojciec! ojciec mój!... ale za to... za to... za to... że przecież spełniłam ten obowiązek, jak tylko mogłam i potrafiłam... proszę mamy... niech mama pozwoli, żeby on tu zaraz przyszedł i niech nas pobłogosławi.

Zadała sobie gwałt wielki i, przyklękawszy przed matką, w kolana ją pocałowała.

— I dla samój siebie... — mówiła, — niech mama to zrobi i błogosławi nas!... Mama nie młodą już jest... kapitalik ma niewielki i sama jedna... My mamie pokoik w domku naszym urządzim, przystroim... on ma starą matkę, którą bardzo kocha... będziemy was obie doglądać, jak oczy własne... spokojną starość...

Żyrewiczowa porwała się z kanapki i, giestem tak popędliwym, jakiego nigdy od łagodności jój i delikatności spodziewać się nie było można, córkę od siebie odepchnęła.

— Precz! precz! precz! — wymachując ramionami i z twarzą w ogniu, wołała, — dziecko niegodne! niepocziwa dziewczyno! Ty mię śmiesz od niemłodych wyzywać!

w chałupie jakiejś spokojną starość, z mularką jakąś razem obiecywać! Cóż to ty sobie myślisz? kto ja jestem? Jestem córką pocztmistrza, a matka moja z obywatelskiej rodziny, bo inaczej nie poszła-bym za niego! w kogo ty wrodziłaś się? ani w ojca, ani w matkę, ani w babkę, ani w dziada...

— Owszem, owszem! — zawołała Brygida. — Mylisz się, mamó, wrodziłam się w ojca... w biednego ojca mego, który tak samo, jak ja, nie był ani szczupłym, ani powiewnym, i po francuzku nie umiał, i grać nie umiał, i górnice mówić nie umiał, ale taki był pracowity, że przez 20 lat zarabiał, mamó, dla ciebie nie tylko na chleb, ale na torty, cukierki, assamble i stroje...

— Brygido! — krzyknęła Żyrewiczowa, — ubliżasz matce!

Rozgorzałe oczy dziewczyny przygasły znowu, odetchnęła głęboko.

— Przepraszam, — rzekła, zniżając głos, — uniosłam się, przepraszam... ale cóż ja zrobię? prosiłam przecież mamę, błagałam i perswadowałam...

— I bądź pewną, — drżąc cała i na środku pokoju stając, odpowiedziała pani Emma, — że żadne twoje prośby, błagania i perswadowania nic tu nie pomogą. Zwaryowałaś i koniec, a ja waryacyi tej ani pobłażać, ani sama przez nią cierpieć nie mogę. Co-by na to powiedział pan Stanisław? co-by powiedziała Łopotnicka? U Łopotnickiej nogaby już moja chyba nie stanęła nigdy. Czy my na pustyni żyjemy, abyśmy sobie według woli za różnych mularzy i młynarzy wychodzić mogły. Żyjemy pomiędzy ludźmi, a kogo ludzie w pogardzie mają, tego i my... bo inaczej spadniemy same w pogardę ludzką... w błoto! Tak postępować każe nam nasza godność osobista i nasze wznioślejsze uczucia. Ale czyż ty masz w sobie choć trochę osobistej godności? czyż ty rozumiesz, co to jest wzniosłość uczuć? byłaś zawsze grubą naturą i sprawiałaś mi same zmartwienia. Rodziłam cię w większych bolach, niż obu twych braci; dzieckiem byłaś krzykliwem i spać mi nie dawałaś, wrzeszcząc zawsze niewiedzieć czego... potem żadna edukacja nie przyjmowała się do ciebie, żadnego talentu nie miałaś... Bóg wie z kąd i dlaczego rosłaś wielka i silna, jak prosta dziewczka, to też i teraz...

Mówiła jeszcze długo, ciągle w tenże sam sposób, chodząc po pokoju, rozmachując ramionami, w rumieńcach cała, z iskrzącym się wzrokiem. Brygida milczała, jak grób; na czole jej zarysowała się gruba zmarszczka, a czarne oczy jej wpatrzono w ziemię, nabrały przepaścistej głębi i boleści.

Nakoniec mówiąca kobieta zmęczyła się i stanęła.

— No, — rzekła z rozkazującym giestem, — siadaj, weź robotę, uspokój się sama i mnie daj odpocząć. A głupstwo te wybij sobie z głowy raz na zawsze...

Brygida podniosła głowę.

— Nie mamó, — odpowiedziała, — nie siadę, nie wezmę roboty i nie wybiję sobie z głowy... ale pójdę zaraz do niego i powiem, żeby na zapowiedzie dawał. Jestem aż nadto pełnoletnią... Ksiądz metrykę wyda. Za dwa tygodnie weźmiemy ślub.

Mówiła to ponuro i stanowczo. Na twarzy pani Emmy odmalował się wyraz najwyższej trwogi. Tak, mogła to uczynić, była istotnie pełnoletnią, ksiądz istotnie mógł dać jej potrzebne dokumenta, mogli istotnie pobrać się bez jej pozwolenia! A więc, dla przełamania przekłętego uporu dziewczyny tej, pozostał już jej środek jedyny. Jeżeli chce uniknąć tego, co-by ją w oczach ludzkich rzuciło w pogardę i błoto, jeżeli chce mózgi spojrzeć w oczy Stasiowi i Łopotnickiej, użyć powinna tego jeszcze jedynego środka.

Przed wyobraźnią jej mignęła aktorka jakaś, którą kiedyś widziała na scenie Ongrodzkiego teatru, w roli matki, wyklinającej syna, czy córkę. Nie pamiętała już słów przekleństwa, ale imponująca i patetyczna postać aktorki przed oczyma jej stała wyraźnie.

Stanęła więc na środku pokoju, patetycznym giestem wyciągnęła ku Brygidzie oba ramiona i zawołała:

— A więc ja przeklnę cię, córko wyrodna! przeklnę cię razem z Sośniną twoją i wszystkimi Sośninami, które z niem mieć będziesz... O, słuchaj! niech przekleństwo matki...

— Mamó! mamó! mamó! — przeraźliwie krzyknęła Brygida i, rzucając się ku matce, usiłowała pochwycić rękę jej i suknię, byle tylko do dalszego mówienia jej nie dopuścić. Błądą była śmiertelnie i drżała od stóp do głowy. — Mamó, nie przeklinaj! — wołała, — mamó, na miłość Bożką, przestań!... Przekleństwo matki... o! ja boję się... za cóż i on także ma być przeklętym! i dzieci!... mamó, zlituj się... nie błogosławieństwo Bożkie... straszno!

I całym swym silnym, kształtnym ciałem runęła u stóp matki. Lecz pani Emma, której oczy ochłodziły już i błysnęły tryumfem, odskoczyła od niej.

— Tak, — zawołała, — przekleństwo matki to niebłogosławieństwo Bożkie... aż do czternastego pokolenia... czy słyszysz? aż do czternastego pokolenia! głód, mór, węże, szarańcza, ciemności i wszystkie plagi egipskie! jeżeli nie przyrzeczesz mi, że wybijesz sobie z głowy te głupstwa, aż do czternastego pokolenia przeklnę twoje Sośniny! Cóż? czemu nic nie mówisz i leżysz jak nieżywa twarzą do ziemi! Myślisz jeszcze sprzeciwiać się! no, to słuchaj! niech przekleństwo matki...

— Mamo! mamo!

Porwała się znowu z ziemi.

— Niebłogosławieństwo bożkie! — krzyknęła, — straszno!

— Niech przekleństwo matki...

— Czekaj, mamo, czekaj! nie mów dalej! nie gub duszy i mojej, i jego! o ja niešťęśliwa! Idę, już idę! Zejdę ci z oczu, zrobię, jak chcesz! O! bodajbym była nazajutrz po urodzeniu się wskróś ziemi przepadła!...

Z ostatnimi słowami, łkając i szamocąc się, jak burzliwy wichur wypadła z mieszkania.

Wieczór był zimny, dziedziniec napełniony głębokim zmrokiem. Brygida biegła ku bramie, w pobliżu której w oczekującej postawie stał urodziwy mężczyzna, w mieszczańskim ubraniu i z długim, bujnym wąsem. Spostrzegłszy ją, szybko kilka kroków ku niej postąpił.

— A co? a co? — pytał ciekawie, — uprosiłaś? zgodziła się? mogę tam iść?

Z właściwą sobie gwałtownością i z wybuchem płaczu porwała go za ręce.

— Nie zgodziła się... przekląć chce mnie i... ciebie! już zaczęła przeklinać!...

Ogarnął ją ramieniem, przycisnął do piersi i długo milczał. Potem smutnym bardzo głosem zaczął:

— Przekleństwo matki, niebłogosławieństwo Bożkie... nie można! Ja ciebie bez błogosławieństwa matki brać nie mogę. Jaką ona sobie jest, to jest... zawsze to matka, i wreszcie...

Tu ramię jego opadło i podniósł głowę.

— Wreszcie... cóż u licha? a któż to ja taki, złodziej, pijak, włóczęga, czy co? żeby aż przeklinać mię za to, że dziewczynę ukochał i za żonkę ją biorę!...

Ona nie odpowiedziała nic i, cicha, zeszywniała, usunęła się o parę kroków.

— Próbowala-żeś wszystkiego? — zapytał po chwili, — prosiłaś? persadowałaś? mówiłaś, że mam dobry kawałek chleba dla ciebie, i nawet dla niej? Niech u ludzi się spyta? niech mi termin naznaczy, żeby poznać się zemną? na wszystko zgodzę się... tylko nie na przeklinanie!

Milczała.

— To już nam ze sobą i pożegnać się wypadnie.

Żałowała głośno, on znowu ją do piersi swęj przycisnął.

— A no, — mówił, — może się jeszcze stara namyśli i udobrucha. Ot widzisz, serce mi kraje się i aż płakać chce się... Wiiesz co? jak śniegi spadną i skończą się mularskie roboty, ja tu kiedy, wolnym dniem, wpadnę i dowiem się... a choć-by tylko i zobaczyc ciebie, moja ty czarnooka!

— Przyjedziesz? czy przyjedziesz? — zapytała chciwie, a w głosie jęj zadrzała nadzieja.

Śniegi spadły, i biegnącej przez ulicę malutkiej osobce nie gorąco być musiało w szczupło watowanej algierce, którą miała na sobie, a jednak okrągła twarz jęj wyglądała jak czerwone jabłuszko, a małe oczki błyszczwały jak czarne paciorki. Migotały one na przemian trwożą i łzami; od chwili do chwili załamywała ręce i z cicha do siebie jęczała:

— O! Boże mój, Boże! czyż to prawda? czy to być może?

Wpadła w dziedziniec i jak strzała puściła się ku mieszkaniu Żyrewiczowej.

— Pani moja! — wołała już we drzwiach, — nie wytrzymam... ledwie żyję... skończenie świata... Staś... Staś... ten Stasieczek...

Upadła na kanapkę z załamanymi rękoma i osłupiałym wzrokiem. Żyrewiczowa zerwała się od fortepianu, na którym, z silnym akcentowaniem miejsc rzewnych i melodyjnych, wygrywała jakiegoś walca.

— Staś! co się stało ze Stasiem? zachorował? umarł?
— Nie, nie, nie! Dwa tygodnie temu sprzedał Żyrewicze i wyjechał gdzieś daleko, aż na Białoruś, czy co, do jakichś krewnych...

— Wyjechał!

— Wyjechał.

— Jakto, zupełnie? zupełnie?

— Zupełnie... zupełnie.

— Jakto, bez pożegnania?

— Otóż to, otóż to, otóż to i boleśnie! bez pożegnania!

Żyrewiczowa skamieniała na chwilę, w oczach ję zakręciły się łzy.

— Nie wierzę, — zawołała nagle, — jakto? on by się miał nie pożegnać ze mną, ze mną... kiedy jestem jego *ange consolatrice*. Nie wierzę!... kto ci to mówił?

— Na mieście! na mieście! na mieście! wszyscy znajomi moi i jego mówili... odnosiłam profitki i podstawki... mówili, że najpewniej.

Żyrewiczowa usiadła na kanapce i zadumała się długo, smutnie. Rozalia ocierała sobie łzy z oczu i twarzy. Po kilku minutach zaledwie wdowa z cicha przemówiła:

— A nasze kapitałiki?

— Ach! — porwała się Rozalia, — zapomniałam! to prawda! cóż będzie z temi kapitałikami i temi procentami? O Boże! mama zmartwi się bardzo... co tu robić? u kogo teraz upominać się? Chodźmy do mamy.

— Poczekaj pani... a nie słyszałaś, jak to było? co? dlaczego? z kąd ten nagły wyjazd...

— At! — skinęła ręką Rozalia, — albo to ludziom wierzyć można? Zwyczajnie, teraz już takie plotki... mówią, że Staś temi pieniędzmi, które wziął od mamy, miał rzeczywiście dług jakiś spłacić, a potem las, czy co tam takiego, sprzedać i majątek oczyścić; ale nazajutrz potem, jak mu mama pożyczyła, pieniądze te przegrał...

— Co? jakto przegrał? w karty?

— W karty. Mówią, że w karty! I już długu opłacić nie mógł, i sprzedać czegoś tam nie mógł, i tylko majątek cały sprzedał...

— To plotki, fałsz, kalumnia! — wykrzyknęła wdowa. — On! ta wzniosła dusza... tak poziomo!... nie, to być nie może. W tém jest jakiś dramat, jakiś fatalizm, coś tragicznego, coś... coś... takiego...

— Chodźmy do mamy. Mama da może sposób dowiedzenia się prawdy. Mama wszystko wie, co może być, a co nie może być. Chodźmy.

Poszły. I gdy z mnóstwem wykrzyków, omówień, twierdzeń i przeczeń, westchnień i łez, opowiedziały pani prezydentowej wszystko, o czém wiedziały same, pani prezydentowa zdrętwiała. Wyprostowana jak struna, roztworzyła usta, na szalu francuzkim szeroko rozpostarła palce, i tylko powieki ję nad siwą, szklistą źrenicą mrugały prędko, prędko.

Rozalia z przestachem rzuciła się do nię.

— Mamie niedobrze.

Obudziła się z chwilowego osłupienia, i rozkazującym giestem córkę od siebie usunęła.

— Niech Różia poda mi salopę i ciepłą chusteczkę na głowę, — rzekła zwykłym już sobie, pewnym i suchym głosem.

Z trudnością jednak wstała z fotelu; Rozalia podawała ję salopę i chusteczkę.

— Gdzie mamcia pójdzie? dziś bardzo zimno...

Wskazała palcem dom, w którym mieszkał adwokat.

— Od niego dowiem się, co prawda a co nieprawda. On wszystkich obywateli i interesu ich zna.

— Ja z mamcią pójdę.

— Nie trzeba... Mogą tam być mówione takie rzeczy, o których pannom słuchać nie wypada.

W salopie, która plecom ję nadawała pozór stary i przygarbiony, z nieodstępny kijem swym w ręku, szła przez dziedziniec, powolniejszym niż zwykle i daleko mniej zamaszystym, krokiem. Dwie pozostałe kobiety w trwodze i milczeniu powrotu ję oczekiwały. Wróciła prędko, w kwadrans może po wyjściu, i chciała sama rozpiąć i zdjąć salopę, ale nie mogła. Ręce ję trzęsły się i głowa nawet, tak dumnie zazwyczaj na sztywnęj szyi osadzona, trzęsła się także.

— A co, mam? — rozbierając ją, szepnęła Rozalia.
— Prawda, wszystko prawda, — ostro i krótko odpowiedziała.
— Wyjechał więc? — zawołała Żyrewiczowa.

Nie było odpowiedzi.

— A nasze kapitaliki? — zapytała ciszéj.

— Przepadły, — głucho odpowiedziała stara, która już na swym fotelu usiadła i, z głową o tylną poręcz opartą, patrzyła w sufit.

Wdowa zbladła bardzo. Przed oczyma jéj mignęło widmo nędzy.

— Jakże to? — zaczęła drżącym głosem, — pani prezydentowa miała obliży i kartki od Stasia.

Łopotnicka oderwała głowę od poręczy fotela i spojrzała na nią przeszywającym wzrokiem.

— Obligi! — zawołała, — a kto je pisał? Notaryusz... Ickiewicz jakiś!... Jakież walor mogą mieć dokumenta, przez jakiegoś Ickiewicza pisane? Co tacy Ickiewiczze i cały ten terazniejszy motloch robi, to... to... to... to... nigdy waloru żadnego mieć nie może. Otóż to... to... to... to... i bieda, że Ickiewiczze nad nami zapanowali, a Żyrewiczowie Bucikowskim majątki swoje sprzedawać muszą. Sprzedał Żyrewicze Bucikowskiemu, a kto o téj sprzedaży nie wiedział, ten i stracił to, co na Żyrewiczach miał. Bucikowski, choć Żyrewicze wziął, nie wypłaci pewnie... ten... ten... ten... ekonomczuk.

Oparła znowu głowę o poręcz i zaczęła patrzeć w sufit. Palce jéj spazmatycznie mięły brzeg francuzkiego szala, a wargi zwarły się tak silnie, że z profilu widać było tylko, pod czołem wysokiem i zmiętém w mnóstwo zmarszczek, dwie ostre i zbliżające się ku sobie linie nosa i brody. Tak przesiadła do późnego wieczora i do córki nie przemówiła ani słowa, wtedy nawet, gdy ta, z twarzą zbrzęknietą od płaczu, postawiła przed nią stoliczek ze szklanką herbaty, i gorąco, długo całowała ją w obie ręce. Gdyby nie oczy, rozwarłe szeroko i szklisto, patrzące w sufit, można by sądzić, że spała lub była zemdlną. Nad wieczorem zaczęła z cicha coś mruczeć do siebie. Rozalia, bacznie wsłuchując się, dosłyszała tylko słów kilka:

— Licho wie co! syn obywatelski...

A potem:

— Dziecku nic nie zostawię... robótki... tylko... robótki...

Przed północą wstała z fotela i powiedziała Rozalii, aby ją rozebrała. Daremnie jednak córka po kilka razy zapytywała ją, jak się czuje, i czy czasem do apteki po co nie pójść. Nie odpowiedziała nic. W nocy, Rozalii, która nie spała i co moment przychyliła ucha w stronę łóżka matki, zdawało się, że słyszy stękanie tłumione w poduszkach. Nie śmiała jednak przemówić, ani światła zapalić; a gdy z rana obudziła się z krótkiej, ciężkiej drzemki, krzyknęła aż ze zdziwienia i zadowolenia razem. Matka jéj siedziała na brzegu łóżka, ubrana już zupełnie, w szalu, czepeczku wygarniowanym, w okularach nawet, prosta, jak zwykle, i ze zwykłym, trochę tylko uroczystszym, wyrazem na twarzy.

— Jak mamie jest? czy mama nie czuje się cierpiącą?

— Nic mi nie jest. Czuję się jak zwykle. Pobiegnij-no, otwórz okiennice, a potem ogarnij się i idź do miasta. Kupisz mi i przyniesiesz liberkę listowego papieru, dziesięć kopert pocztowych, atramentu i piór... patrz tylko, żeby pióra były miękkie.

— Mamciu! na co mamci to wszystko?

Nie odpowiedziała.

Kiedy Rozalia wróciła z miasta z żądanymi sprawunkami, znalazła matkę siedzącą na fotelu, z książką od nabożeństwa na kolanach i modlącą się żarliwie. Na widok córki, uderzyła się parę razy w piersi, przeżegnała się i złożyła książkę.

— Róziu! chodź tu do mnie!

Przesunęła parę razy dłoń po włosach Rozalii, które dnia tego wcale wypomadowanymi nie były, i mówić zaczęła:

— Jesteśmy teraz bardzo biedne, ogołocone ze wszystkiego, ale broń cię Boże, ażebyś narzekać, albo o *nim* źle mówić miała. Narzekać, jęczeć przed ludźmi i, biedować nie wypada, i było-by dla nas z ubliżeniem, źle zaś o *nim* mówić, grzech. Jaki tam *on* jest, to jest, zawsze to... to... to... nasz, jednego z nami rodu i pochodzenia. Niechaj ten motloch przeklęty nie ma téj satysfakcyi, a byśmy jedni na drugich skargi wywodzili i źle mówili. Cóż Róziu, czy będziesz posłuszną woli mojej?

— Ja przecież zawsze, zawsze byłam mamie posłuszną, a o Stasiu nie mogła-bym źle mówić, gdybym nawet chciała...

— To dobrze. Jesteś prawdziwem dobrem mojem dzieckiem. A teraz powiem ci... że da Pan Bóg, nie zginiem! Wierzę w Opatrzność Bożą i w dobre serca tych, z którymi całe życie moje przebyłam... z których koła wyгнаły mnie okoliczności, ale którzy w biedzie ostatecznej nie opuszczą nas z pewnością. Dziś i jutro pisać będę listy i roześlę je... do marszałkowej Korzyckiej, do Odropolskiego, do Sanickich, tych, co to z Sanowa nad Niemnem, i do innych jeszcze... do innych, z którymi wiążą mię dawne stosunki i to... to... to... wspomnienia. Stasia obwiniać nie będę, ale napiszę im, że chciałam jednego z nas podtrzymać, podeprzeć, z rąk motłochu uratować... Spełniłam święty obowiązek, niech-że oni teraz względem nas spełniają swój...

— Spełnią, z pewnością! — z entuzjazmem zawołała Rozalia, i gorącemi pocałunkami okryła ręce i kolana matki. Więcej niż kiedykolwiek matka ta była „jedynem jej dobrem”.

Dnia tego, nad wieczorem, Żyrewiczowa z cicha i nieśmiało weszła do mieszkania Łopotnickiej. Nietylko była ona cichą i nieśmiałą, ale też bardzo zmienioną. Przez jedną dobę postarzała o lat kilkanaście. Oczy miała ogniście czerwone, a twarz zbladła i zmięta. W mieszkaniu panowała cisza głęboka. Rozalia kończyła spieszenie jakąś robótkę. Łopotnicka, siedząc przy stole pisała listy. Pisząc, nie pochylała się nad stołem ani na jedną linię. Siedziała prosto i sztywnie, rękę dość prędko posuwała po papierze, a w wyrazie twarzy jej nietylko upokorzenia ani rozrzewnienia nie było, ale owszem, malowało się na niej zadowolenie z siebie i większa niż zwykle wyniosłość i duma.

Żyrewiczowa na ziemi przy Rozalii przysiadła.

— Co to mama pisze? — szepnęła.

— Listy do obywateli, aby spełnili obowiązek swój względem nas, tak jak mama spełniła go względem Stasia. Spełnią pewnie i nie dadzą mamie nędzy przynieść.

— Najpewniej spełnią i nie dadzą nędzy przynieść! — odpowiedziała wdowa i, żałośnie splatając ręce, dodała: — Mój Boże! co to jest z obywatelskiej rodziny pochodzić!

Potem cichutko i pokornie zaczęła prosić Rozalii, aby dopomogła jej do sprzedania fortepianu.

— Ostatniego rubla Brynia na mieście dziś rozmięła, i nie wiem, doprawdy, co to z tego wszystkiego będzie? Tymczasem muszę, muszę sprzedać fortepian.

Mówiła, że nikt sobie wyobrazić nawet nie może, ile ją kosztuje rozstanie się z fortepianem, ale cóż począć? Nic kosztownego więcej nie posiada. Rozalia ma więcej od niej znajomości na mieście... niech postara się o kogoś, ktoby chciał nabyć i zarazem zapłacić. Rozalia przyrzekła chętnie, a potem zauważyła, że pani radczyni bardzo źle wygląda, i zapytała, czy nie czuje się chorą.

— Niedobrze mi, istotnie niedobrze, — odpowiedziała, drżąc z zimna i osłaniając się chustką, którą na sobie miała. — Jakże może być inaczej? Tyle na raz zmartwień i wzruszeń, a zdrowie miałam zawsze delikatne. Kto-by to przypuścił, że Staś wyjedzie bez pożegnania się z nami?

Rozalia, wzdychając, odpowiedziała:

— Nie mógł widać inaczej... biedaczek! On zawsze taki grzeczny był, dobry, miły...

Kilka minut jeszcze szeptały o Stasiu, a Żyrewiczowa nie przestawała utrzymywać, że w postępku jego ukrywa się jakiś dramat, fatalizm, coś tragicznego, coś... takiego...

W parę dni potem Rozalia oznajmiła sąsiadce swęj, że znalazła już na jej fortepian kupca, który zaraz, tego samego dnia, zapłaci umówione pieniądze, ale też i sprzęt nabyty zaraz zabierze. Przed wieczorem Brygida poszła do sklepiku aby uprossić trochę chleba i krup na kredyt, a Żyrewiczowa siadła przy fortepianie.

— Ostatni raz! — szepnęła, — ostatni raz!

Drżącą ręką wygrała pasaż jakiś, potem część jakiegoś walca, aż urwała nagle i, z cichym wtórem akordów, głosem nabrzmiałym łzami, śpiewać zaczęła:

— O! powiedz mu, że niepojęta siła,
Do jego życia wiąże moje dni!
O! powiedz mu...

Tu ozwały się w sionkach liczne, ciężkie kroki; tragarze przychodzili po fortepian. Wstała, usunęła się na bok, i chustką zasłaniając sobie usta, patrzyła w milczeniu na robotę tragarzy. Lecz gdy fortepian, dźwignięty z ziemi i na kilku silnych plecach oparty, wysuwać się już począł z pokoju, rzuciła się ku niemu, zaczęła chwytając go z tyłu i z przodu, z głośnym wołaniem:

— To przeszłość moja... to młodość moja... szczęśliwe czasy moje odchodzą ode mnie... odchodzą... odchodzą!...

Potem w mieszkaniu zrobiła się cisza. Rozalia w milczeniu siedziała na kanapce, a Żyrewiczowa gorączkowym krokiem przebiegając pokój, gorączkowo też i długo mówiła. W mowie tej przebiegała całe swoje życie. Skarżyła się naprzód na to, że rodzice zbyt młodo za męża ją wydali, gdyby była starszą, zrobiła-by inny, stosowniejszy dla siebie wybór. Potem opowiadała o mężu, że był to dobry, bardzo dobry człowiek, ale nie rozumiał jej nigdy, nie mógł zadowolnić wznioślejszych jej uczuć, a na koniec zostawił ją z takim małym funduszem. Brygida wrodziła się w ojca, dobra to dziewczyna, ale jakaż z niej pociecha? Taką ma grubą, pospolitą naturę, że ani partyi dobrej zrobić, ani przyjaciółką i powiernicą matki być nie może. Gdyby synowie jej hodowali się byli i żyli dotąd! ale cóż? albo to ona kiedy dobre i wierne sługi miała? Niania były dobrze opłacane za to, żeby dzieci pilnowały, a jednak nie dopilnowały, a dwa nieszczęścia, jedno po drugim, jak gromy spadły na nią. I w sposób ten całe życie jej przeszło na samych tylko tęsknotach, zmartwieniach i wyrzekaniach się wszystkiego. W sercu swém nosi ona kilka mogił; są to mogiły rodziców, męża, synów, a teraz, teraz, gdy czuje, że skrzydła jej złamały się już zupełnie, gdy zmęczoną jest i taką zbolalą, utraciła majątek cały, fortepian swój i ostatnią zapewne na ziemi bratnią duszę.

Mówiła to wszystko szybko i żałośnie, ale bez łez. Owszem, oczy jej błyszczały sucho i gorączkowo, na policzkach miała niezdrowe rumieńce, i z dreszczami otulała się w ciepłą chustkę. Kiedy w godzinę po wyniesieniu fortepianu Rozalia wychodziła, Żyrewiczowa żywo zwróciła się ku niej.

— Moja panno Rozalio, — rzekła, — jeżeli tam spotkasz mego Ignacego, to powiedz mu, żeby prędzej do domu szedł, bo chora jestem i potrzebuję opieki, a Konradka i Edzia każ wynieść do dalszych pokojów, bo płaczą bardzo, a mnie serce od ich płaczu rwie się.

Rozalia uczyniła giest taki, jakby przeżegnać się chciała, ale potem wstrząsnęła znacząco głową i, wołając Brygidę, wybiegła.

Brygida nastawiała w sionkach samowar.

— Bryniu, — rzekła do niej, — idź po doktora dla matki; chora jest, w gorączce bredzi.

Chorowała długo i ciężko, nie umarła jednak. A gdy pierwszy raz po chorobie wstała z łóżka, w pokoju nie było już ani kanapki, ani szafy na suknie, ani nic z tego, cokolwiek z posiadanej przez nią ruchomości spieniężonem być mogło. Pusty pokój z nagiemi ścianami ponuro wyglądał przy białem świetle zimowego, śnieżystego dnia. Przy oknie, z grubego płótna zszywając worki takie, w jakich mąkę wożą z młynów, siedziała Brygida. Na pięknej jej twarzy wyrzywały się głębokimi śladami bezsenne noce, trudy, niedostatek i inna może jeszcze zgryzota. Widząc, że matka wstała i dość pewnym już krokiem przeszła się po pokoju, ze spuszczonej na robotę oczyma rzekła:

— Mamo, trzeba mi w służbę iść. Zupełnie już nie mamy z czego żyć.

Poszła w służbę, za pokojówkę, do jakiegoś dostatniego domu, któremu zarekomendowała ją Rozalia, bo do żadnej innej służby uzdatnioną nie była. Kazimierz Sośnina nie przyjechał już więcej nigdy, a raczej bywał zapewne w Ongrodzie, ale z nią widzieć się nie starał. Nic dziwnego. Mularz, nie rycerz ani wice-hrabia. Czasu może zabrakło mu, albo wśród ciężkiej pracy zapominał o „czarnookiej“ tak często, że na koniec i całkiem o niej zapomniał; być może też, że „siwa gołąbka“ rała mu na żonę jaką nie panienkę i nie z takiego domu, gdzie córki wyklinają, a on wpływem jej ulegał...

Brygida prędko zmieniła miejsce, i zmieniała je potem często. Uznawano ogólnie, że była uczciwa i pracowita, ale ponura jak noc i popędliwa jak burza; nikogo do siebie nie przywiązywała i sama z nikim żadnym trwałym węzłem spoić się nie mogła. Od czasu pewnego szczególniej zaczęła ona spadać coraz niżej. Raz, idąc przez ulicę z koszykiem

w ręku, posłana zapewne po sprawunki, spotkała Rozalią. Z razu zdawała się być zadowolona z widoku dawniej znajomej swój. Przywitały się. Było to już w lat kilka po owej porze, gdy mieszkaly na jednym dziedzińcu.

— Cóż tam z wami? — zapytała Brygida, — matka twoja żyje?

Rozalia rozgadała się ze zwykłą sobie łatwością. Matka jej od dwóch już lat nie opuszczała łóżka. Artretyzm miała w rękach i nogach, wychudła strasznie i leży sobie biedactwo, niby figurka woskowa, tak żółta i nieruchoma. Ale nie skarży się nigdy na nic, nie narzeka, nie wybredza; czasem tylko stęknie z bólu, i to w nocy, kiedy myśli, że Rozalia śpi, i nikt a nikt słyszeć tego nie może. Żyją ze sprzedaży robótek Rozalii i z tego, co im przysyłają obywatele okoliczni. Przysyłają! przysyłają! pani marszałkowa to beczkę kartofli, to trochę krup i bułkę chleba; Sannicy to kilka rubli, to kilka złotych, jak mogą, bo oni też w interesach nieszczególnych; Odropolski rubla na miesiąc regularnie, i inni, jeszcze inni. Pomimo to przymierają czasem głodem, a mieszkanie mają takie, że w zimie szron i lód na ścianach. Cóż robić jednak? Zrobiły to, co powinny były zrobić, i nie skarżą się na nikogo. Nikt im nic nie zawinił, a nawet, gdyby nie choroba matki, wcale-by im źle nie było. Spokojne mają sumienie.

— A ty, Bryniu?

Brygida niechętnie ręką skinęła. Zwyczajem swoim do zwierzeń nie była skłonna. Rozalia natomiast mówiła za nią i za siebie.

— Aha! wiész, ten twój konkurent dawniejszy! ożenił się. Wypadkiem zasłam raz do kościoła i trafiłam na jego ślub. Z szewcówną jakąś podobno, ale śliczną dziewczyną, brunetką, tak jak ty.

Po twarzy Brygidy przebiegło kilka szybkich drgnień. Silnym uściśnieniem ręki pożegnała towarzyszkę i prędko odeszła. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, weszła w dziedziniec jakiś, postawiła kosz na ziemi, i z czołem, opartym o cegły ślepego jakiegoś muru, z twarzą w dłoniach, krótko i gwałtownie zapłakała. Wielki czarny pies, który parę już lat ślad w ślad zawsze za nią chodził, wspiał się na ramię jej i polizal jej rękę. Przestała płakać, pogładziła psa, porwała kosz i dalej pobiegła.

Ot tego to dnia właśnie stawała się stopniowo apatyczną i leniwą. Opuszczała ją nawet zwykła jej pracowitość. Ogromne zawsze jej włosy z kruczych stały się popielatemi, zgasłe oczy obojętnie patrzyły na wszystko i wszystkich; a gdy ze zwiędłą twarzą na-pół ukrytą w starą, zrudziałą chustkę, przechodzi ulice miasta, za nią idzie zawsze pies jakiś, za którym ona ogląda się niekiedy tak troskliwie, jak gdyby przedstawiał on całe już jej dobro na świecie i całe kochanie. Często tygodniami i miesiącami zostaje bez służby. Wtedy mieszka z matką, żyjącą w małej izdebce, znajdującej się w starych i opuszczonych murach klasztornych, a w której bezpłatnie mieszkać pozwala jej zwierchność kościelna. W porach tych bezrobocia, Brygida najmuje się dziennie do prania, maglowania, oprzątniania mieszkań, które miejscowych sług nie posiadają, nawet do noszenia wody; a Żyrewiczowa...

Wszystkie mniej więcej dostatnie rodziny, mieszkające w Ongrodzie, znają kobiecinę szczupłą i mizerną, która do mieszkań ich wchodzi od czasu do czasu, w sukni podartej, lecz ozdobionej strzempkami różnych fręzli i wstążek, w kapeluszu starym również, lecz przystrojonym zмокłem najczęściej, odwiecznym piórem i starannie na ufryzowane nioby włożonym. Posuwistym i dygającym krokiem zbliża się ona do gospodyni domu, i jeżeli to jest pierwsza wizyta, podaje jej we czworo złożony arkusz papieru. Na papierze tym znajduje się długie pisanie, zaczynające się od słów: „Jaśnie wielmożni państwo do-brodziejstwo! ze szlachetnej rodziny pochodząca, podupadła na zdrowiu i majątku, wdowa po urzędniku, ośmiela się wznieść błagające oczy ku wspaniałomyślnym obliczom tych, którzy... i t. d.”

Jeżeli przychodzi do domów, w których już jest znaną, nie podaje już papieru owego, ale staje o kilka kroków ode drzwi, i błękitnemi zawsze jak turkusy oczyma patrzy w twarze obecnych; spojrzeniem tém zdaje się prosić, aby obeszli się z nią dobrze, i choć na chwilę przypuścili ją do towarzystwa swego. Przez współczucie, z nudy, dla przepędzenia czasu, czynią to niekiedy. Proszą ją, aby weszła do bawialnego pokoju, gdzie siada ona, zaledwie połowę krzesła zając śmiać, lecz wnet, korzystając ze sposobności powiedzenia czegoś o swoich dawnych czasach, zapytana o przeszłość, zaczyna zwykle od domu rodziców swoich.

— Kiedy byłam w domu rodziców moich, — mówi, — nazywano mię Sylfidą.

— Dlaczegoż to? — pytają obecni.

Z rumieńcem i uśmiechem spogląda na kibić swą i odpowiada:

— Taka byłam zawsze szczupłą, wiotką... — Potém mówi jeszcze, że nieboszczyk mąż jój i cała jego rodzina nazywali ją Zefirkiem, a to dlatego, że nadzwyczaj lekko tańczyła, i taki miała charakter, że nigdy żadnego stałego postanowienia zrobić nie mogła... Dziś to, jutro tamto jój się podoba, zwyczajnie, gdy człowiek w szczęściu i wygodach wszelkich zostaje...

Szczególniej pożądliwemi oczyma patrzyła ona zwykle na wszelki fortepian. Wiedzianno o tém, że kiedyś grać i śpiewać umiała, i czasem dla rozrywki, albo i dla zrobienia jój przyjemności, proszono ją, aby siadła do fortepianu. Czyni to zawsze z uszczęśliwieniem widoczném; zdejmuje rękawiczki z podartemi palcami, i błogo uśmiechając się, uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci domu chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ironicznie ruszają ramionami; ale ona, zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytném towarzystwem, w którym się znajduje, głosem czystym i dźwięcznym, ale nadzwyczaj słabym i co chwila konającym, śpiewać zaczyna:

— O, powiedz mu, że niepojęta siła...

Umie wiele innych jeszcze piosenek, a po tamtój najulubieńszą z nich jest dla niój:

— O gwiazdeczko, coś błyszczła,

Gdym ujrzała świat!

Czemuż, czemuż gwiazdka mała, i t. d.

Najczęściej, w chwili właśnie, gdy w największym zapale dośpiewywa drugą czy trzecią strofę swój piosnki, do pokoju wchodzi gość albo pan domu, który nie lubi jój, czy też, po pracy zgłodniały, dopomina się o obiad lub wieszczkę; wtedy wkładają jój parę złotych i dają do zrozumienia, a w niektórych miejscach mówią nawet otwarcie, aby co prędzej szła sobie precz.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-zefirek>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Z różnych sfer, tom III, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Thank you for visiting my page@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0667-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.